MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 42. WARSZAWA, 25 WRZEŚNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

BEZDROŻA LIBERALIZMU

CZYNNIKI życia gospodarczego, które niedawno jeszcze były tylko objektem polityki gospodarczej (przemysł, robotnicy), a wpływ swój na nią wywierały najwyżej drogą pośrednią (przez parlament) obecnie same, za pośrednictwem organizacyj (związki zawodowe i kartele) regulują życie gospodarcze.

Nie drogą jakichś ustaw, a poprostu *via facti*, uzurpują sobie one kompetencje, typowe dla organizacyj publiczno-prawnych. Kupiec poddany jest kontroli kartelu, który oznacza, na jakim terenie może on działać. Nie wolno mu sprzeciwiać się zarządzeniom kartelu. Ten ostatni rozporządza bowiem bardzo istotnym atrybutem organów publiczno-prawnych: może karać nieposłusznych. Oczywiście nie nałoży im grzywny, nie zamknie opornych do więzienia. Rozporządza jednak środkami bodaj jeszcze skuteczniejszemi. Wykreślenie krnąbrnych kupców z listy odbiorców kartelu—doprowadzić ich musi do ruiny. Kartele mają coraz większą władzę, wynikającą z monopolistycznego stanowiska na rynku.

Uważam za swój obowiązek poprzeć to twierdzenie konkretnemi faktami z życia, przyczem przykłady czerpać będę z ostatniego półrocza.

Do niedawna kartel naftowy nie obejmował wszystkich rafineryj. Byli zatem i hurtownicy, zaopatrujący się w towar u t. zw. *outsider*'ów. Obecnie (*nb.* pod presją rządu) *outsider*'zy ci wejdą do kartelu. Kupcy, którzy odważyli się kupować od nich naftę, będą teraz wyeliminowani z handlu...

Drugi przykład: Jak wiadomo kartel drożdżowy opiera się u nas na tem, że min. skarbu nie udziela koncesyj na nowe drożdżownie, które mogłyby zrobić konkurencję istniejącym. Otóż ostatnio jakiś przedsiębiorczy kapitalista wynalazł sposób obejścia obowiązku koncesyjnego. Założył drożdżownię w Gdańsku, t. j. na naszym obszarze celnym, na który jednak nie rozciąga się system koncesyjny. Zagrożony kartel drożdżowy znalazł jednak sposób: oto z niewiadomych, ale łatwych do odgadnięcia powodów, gdańska drożdżownia nie mogła nabyć w Polsce niezbędnego surowca — to jest melasy. Cukrownie miały poważniejszego odbiorcę tego artykułu t. j. kartel drożdżowni. Inna rzecz, że gdańscy fabrykanci drożdży też sobie jakoś poradzili, ale bądź co bądź próba rozszerzania zasięgu władzy na teren nie podlegający ministrowi skarbu zasługuje na uwagę...

Kartel cukrowni na własny koszt ogłasza o karach, nakładanych przez państwo na handlujących sacharyną, oraz o nagrodach przeznaczonych dla tych, którzy wskażą przemyt tego artykułu i utrzymuje biuro detektywów dla poszukiwania szmuglerów sacharyny.

A ileż takich faktów pozostaje w ukryciu? Kto bliżej zetknął się z życiem gospodarczem, wie że władza (nie zawaham się użyć tego wyrażenia) karteli wciąż rośnie.

Pominę fakt, że w przeważającej liczbie wypadków władza ta wykonywana jest przez elementy rasowo nam obce. Pozostańmy na gruncie „gospodarczym" i z tego punktu widzenia rozpatrzmy stosunek ekonomji liberalnej do zagadnienia rosnącej władzy karteli.

Liberalizm w swej czystej formie streszcza się w haśle *„laisser faire"*, będącem wskaźnikiem dla polityki gospodarczej państwa. Nie wtrącać się do gospodarki prywatnej, nie interwenjować. To jest strona formalna zaleceń ekonomji liberalnej. Ale założeniem istotnem tego hasła było przeświadczenie, że pozostawianie swemu biegowi gospodarki prywatnej doprowadza do wolnej gry interesów, do współzawodnictwa, dającego *maximum* korzyści gospodarstwu społecznemu.

W obecnym układzie stosunków hasło *„laisser faire"* doprowadza do czegoś wprost przeciwnego: do wykluczenia wolnego współzawodnictwa, do pozostawienia pełnej swobody organizowania zrzeszeń, mających na celu zamknięcie wolnej dotychczas gospodarki w ramach sztywnych, nieelastycznych, w których trudno myśleć o przystosowywaniu się do zmian w układzie innych, jeszcze niezwiązanych

gałęzi gospodarstwa; jednem słowem o szybkiem dojściu do nowej równowagi.

Tak więc zwolennicy liberalnej polityki ekonomicznej stoją przed trudnym dylematem: środki przez nich zalecane pociągają za sobą skutki wręcz przeciwne zamierzonym. Gdy pozostawimy pełną swobodę życia gospodarczego, doprowadzimy do stopniowego eliminowania wolnej konkurencji.

Zgóry można spodziewać się następującej odpowiedzi na ten zarzut: polityka liberalna w czystej swej formie nie dopuszczała dawniej istnienia karteli i związków zawodowych. Prawda. Ale zakaz kartelizacji, t. j. zmów, mających na celu podnoszenie cen, nigdy nie mógł być ściśle przeprowadzony. Praktyka Stanów Zjednoczonych wykazała to dowodnie.

Można dyskutować nad tem, czy korzyści zupełnie wolnej konkurencji są tak wielkie, że żadne formy organizacyj gospodarczych nie mogą ich zastąpić. Mówię „można dyskutować", gdyż wiadomo, że czysty ustrój wolnokonkurencyjny ma swoje poważne wady techniczno gospodarcze, jak naprzykład marnotrawstwo kapitałów wskutek przeinwestowania po dobrej konjunkturze i t. p. Ujemne następstwa społeczne liberalizmu gospodarczego są też poważne.

W każdym razie jednak dyskusje te będą czysto teoretyczne. Proces organizowania życia gospodarczego postępuje żywiołowo naprzód.

Dzisiaj haseł liberalnych nadużywa się... dla obrony poczynań, mało mających wspólnego z istotną wolną grą interesów. Niedawno pewien ekonomista, stale broniący karteli, oświadczył, że interwencja państwa przy regulowaniu stosunków gospodarczych przypomina zachowanie się słonia w składzie z porcelaną.

Z drugiej strony jednak gospodarka karteli przypomina zachowanie się niedźwiedzia w pasiece. Chodzi mu o to, żeby zdobyć miód — bez względu na to, czy przy tem zniszczy ule. Podobnie kartele niszczą organizm gospodarczy, na którym żerują.

Tak być musi, dopóki albo psychologja i etyka „sfer gospodarczych" się nie zmieni, póki materjalizm nie ustąpi miejsca zrozumieniu dla potrzeb społeczeństwa, albo dopóki interwencja państwa nie ograniczy ich władzy.

Tymczasem pierwszy warunek jest bardzo trudny do urzeczywistnienia. Psychologja „sfer gospodarczych" kształtowała się w okresie ustroju o przewadze wolnej konkurencji. Jest to typowa psychologja przedsiębiorców indywidualnych. Obecnie ludzie, wychowani na liberalizmie, mają prowadzić gospodarkę „związaną", wymagającą szerszego poglądu na całokształt życia gospodarczego.

W tych warunkach wydaje się nieuniknioną koniecznością rozciągnięcie w pewnym zakresie kontroli państwa nad tymi, którzy chcą sami po dyktatorsku życiem gospodarczem kierować. Konieczność ta stanie się jeszcze bardziej jaskrawą, gdy weźmiemy pod uwagę, że w naszem życiu gospodarczem odgrywa dużą rolę kapitał obcy naszym interesom narodowym, jeżeli nie wręcz wrogi.

Tylko państwo, gdy prowadzi rozumną i odpowiedzialną politykę, może skoordynować sprzeczne nieraz dążenia grup gospodarczych i sprowadzić je do łożyska wspólnej pracy dla rozwoju gospodarczej potęgi Narodu. Często zadaniem państwa może być zapewnienie należytej swobody czynnikom, uciskanym przez zorganizowaną oligarchję...

Na zakończenie pragnąłbym zaznaczyć, że — według mojego zdania — obecny system interwencjonizmu przynosi więcej szkody niż pożytku gospodarstwu narodowemu, nie jest bowiem wynikiem jasno ustalonych wytycznych, a wypływa z doraźnych kompromisów poszczególnych resortów rządowych, za któremi kryją się zorganizowane grupy interesów. Kto zetknął się kiedy z ich zakulisowemi szacherkami, wie, że niema tam miejsca na jakąkolwiek myśl o potrzebach zbiorowości.

WOJCIECH ZALESKI

ŚWIT PO ZAWIERUSZE

OSTATNIEMI czasy ożywiło się znacznie we Francji zainteresowanie do pierwszych lat Trzeciej Rzeczpospolitej. Dzieli nas od tego okresu odstęp normalny dla opublikowania szeregu pamiętników i korespondencyj, dotąd trzymanych w ukryciu. Skądinąd Wielka Wojna przez niektórych, może zbyt pochopnie, uznana za Wielką Próbę dla *régime*'u, skłania również do rozpamiętywania jego początków. Dość, że co trochę zanotować wypada nowe książki, rzucające nowe światło na lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia.

Mają te lata i swoją wymowę ogólniejszą. Francja zbiedzona, zniszczona i zdezorjentowana trzema rewolucjami, czterema zmianami ustroju, trzema inwazjami wroga, budziła się do nowego życia i szukała nerwowo nowych dróg. Naród to, jak to zwykle bywało od tyle wieków, nie tracący czasu, rzutki, myślący, tworzący awangardę cywilizacji zachodniej. Co za widok suggestywny dla tych wszystkich, którzy przebywszy wielką, czasem wiekową, zawieruchę, znajdują się w dobie szukania i tworzenia, narażeni na mnóstwo wiosennych burz i dziecięcych niedoświadczeń...

W ostatnich latach proszą się o zestawienie dwie książki, traktujące o naszym przedmiocie, jedna całkowicie, druga częściowo, ale wymownie, oń zahaczająca. Pierwszą jest Halèvy'ego „*Le fin des notables*", poświęcone historji dwu lat, 1871—73, aż do upadku Thiersa, drugą znakomity pamflet Bernanos'a „*La grande peur des bien pensants*", poświęcony czołowemu antysemicie francuskiemu, Edwardowi Drumont'owi. Pamflet ten jest jednak *sui generis* syntetycznym obrazem dziejów Trzeciej Rzeczpospolitej. Pierwsze jej lata, komuna i krwawe za nią represje są specjalnie uderzające pod mściwem piórem Bernanosa.

Dla zrozumienia tych wypadków trzeba nam przedewszystkiem odczuć atmosferę tych miesięcy, rozejrzeć się w jej warunkach i składnikach. Nad narodem ciążą dwa fakty, jeden bezwzględnie uciążliwy, lecz do usunięcia: obecność okupanta, drugi obosieczny i jeszcze niezrozumiany, ale nie do usunięcia: powszechne głosowanie. Te dwie siły są, o dziwo, ze sobą zespolone. Bismarck nie chce się układać z byle kim, któregoby naród mógł zdezawuować, ze zmianą rządu. Zgromadzenie Narodowe, na podstawie powszechnego głosowania, nie mogłoby być usunięte bez sprzeciwu okupanta.

Tak, ale mądry, ktoby zrozumiał wolę ludu, wyrażoną przez wybory do Zgromadzenia Narodowego. Po klęsce cesarstwa posłowie w ogromnej większości są monarchistami: taką była wola

narodu w styczniu 1871. W sierpniu tegoż roku, przy wyborach uzupełniających, zgórą sto miejsc przypadło republikanom: taką była wola narodu po sześciu miesiącach...

Tej fali skłóconego parlamentaryzmu ktoś powinien stawić czoło. Będzie nim Thiers. Ten eks-węglarz i aktywny mason, miał przez całe swe długie życie niezaspokojone ambicje. Autor rewolucji lipcowej, ofiara zamachu stanu Napoleona III-go, marzy obecnie o czemś w rodzaju plebiscytowej dyktatury na własną korzyść. Nie chce słyszeć o powrocie monarchji, ani oczywiście cesarstwa, jest republikaninem, ale silnej ręki, o ile ta ręka będzie jego własna... Starczy dyktator, pragnący osłony konstytucji, którąby chciał odpowiednio okroić i skonustrować...

Stąd jego tak ciekawe spory ze Zgromadzeniem Narodowem, wobec którego staje jako Prezydent Rzeczpospolitej i premjer w jednej osobie. Konflikt musiał się tu zaostrzyć, gdyż odpowiedzialności premjera stawała wpoprzek częściowa choćby nieodpowiedzialność Prezydenta.

Walkę z Izbą pojmował Thiers jako typowe *divide et impera*, stosowane do dwu nienawidzących się odłamów, monarchistów i radykałów Gambetty. Wybraną głosami prawicy, Thiers co chwila ją zdradza na korzyść radykalnej lewicy... Politykę tę ułatwił przeciwnik. Monarchiści byli rozbici na legitymistów i orleanistów, a radykali nie wyćwiczyli się byli w czem innem jeszcze, jak w negacji. Zresztą na Gambecie ciążyła klątwa przagranej wojny ludowej, którą tak długo przeciągnął był na niekorzyść kraju; wiadomo, że warunki niemieckie byłyby były łagodniejsze tuż po kapitulacji Paryża.

Zwycięstwo starego Thiersa zostało natomiast utrudnione, a w następstwie uniemożliwione dzięki temu, że centrum, które w takich wypadkach zazwyczaj powstaje, oparło się mocno na rdzennych instynktach narodowych i natrafiło na wodza w osobie księcia Alberta de Broglie, wnuka pani de Staël, a dziada znakomitego dzisiejszego fizyka, laureata nagrody Nobla. Albert de Broglie, choć z tradycji i upodobań monarchista, umiał wykrztusić z siebie hasła republikańskie, żeby w ten sposób uchronić ojczyznę przed niebezpieczeństwem dyktatury lub anarchji radykalno-lewicowej. „W starych krajach jak w starych domach zjawiają się powracające widma, które straszą“, powiada pięknie Halèvy. Te widma nazywają się wprost po francusku „powracającymi“ *(les revenants)*, co energicznie podkreśla ich treść emocjonalną, a w tym wypadku i pojęciową. Jeśli gambettyzm chętnie upatrywał w sobie upiora rewolucji, to znów w ideałach obozu Alberta de Braglie widzieć trzeba powracającego ducha dawnych, szlachetnych marzeń Fènelona, Monteskjusza i oświeconych kół Restauracji. Między głową państwa a ludem chcieli oni zachować wielką rolę dla t. zw. *corps intermèdiaires*, szlachty, palestry, Uniwersytetu, tworząc w ten sposób szereg wolnych buforów między demagogją tłumu a zawsze grożącą dyktaturą.

Walka Thiersa z de Brogliem miała zakończyć się klęską pierwszego a zwycięstwem drugiego pod postacią prezydentury marszałka MacMahona. Walka ta, już odrazu w pierwszym roku jest niezwykle ciekawa, bo, krakowskim — mimo że we Francji — targiem, obdarzyła trzecią Republikę szeregiem połowicznych instytucyj, które po dziś dzień istnieją. Wart o im się bliżej przyjrzeć.

Na pierwszy ogień poszły oto odrazu ustawy samorządowe. Codziło o ustrój gminy, a następnie o ustrój wyższej jednostki terytorjalnej, departamentu. Thiersowi nie wystarczała nominacja prefekta, wymusił, wbrew opozycji centrowej, nominację merów. Natomiast centrum odgryzło się w sprawie t. zw. *conseils gènèraux*, rad departamentalnych, stojących u boku prefekta. Chodziło tu o to, by prefekta nominowanego możliwie skrępować owemi radami z wyboru. Thiers protestował energicznie i drastycznie, *„vous voulez mettre une seringue dens mon derrière“...* mawiał. Mimo sprzeciwu Thiersa, *Conseils gènèraux*, istniejące po dziś dzień, zdołały niekiedy rzeczywiście dużą szkodę przynieść inicjatywom oświeconego prefekta, kiedy się taki znalazł. Bywało jednak i inaczej.

Jeszcze ciekawiej potoczyła się walka na terenie oświatowym. Mniejsza w tym wypadku o autonomję szkół wyższych, którą położono, idąc śladami Napoleona, i godząc w ten sposób w samą zasadę *corps intermédiaire.* Najważniejszą tu, odrazu, okazała się walka o duszę dziecka.

Trzeba przyznać, że jakieś — zobaczymy jakie — sfery ukryte, które pchnęły nowy *régime* na swoje tory, okazały tu dużo intuicji. Zrozumiały w lot, że, *à la longue*, najważniejsze są pierwsze ogniwa w przestrzeni i czasie: gmina—i dziecko. Tu należy szukać zaczątków zadziwiającej karjery, jaką zrobiło we Francji Trzeciej Rzeczypospolitej nauczycielstwo ludowe. Na tej drodze naturalnym wrogiem był Kościół, który, pod grozą samobójstwa, nie może wyrzec się wpływu na wychowanie, zwłaszcza w zakresie szkolnictwa powszechnego.

I tu, odrazu w pierwszym roku nowego *régime*, Lyon dał przykład symptomatyczny. W dniu Wniebowzięcia odbywała się tam odwiecznie procesja, w której brały udział i dzieci. Dnia 15 sierpnia 1871, tuż po klęsce i komunie, pod bokiem obecnego jeszcze w kraju okupanta, mer Lyonu zakazał procesji katolickiej, a nakazał natomiast zorganizowanie ulicznych obchodów na część moralności światowej, nauki etc. Dzieci miały uczestniczyć w obchodzie czegoś w rodzaju *déesse raison...*

Dziwne to miasto—Lyon. Z jednej strony centrum może najbardziej mistyczne ze wszystkich miast Francji, z drugiej jednakowoż — miało uzyskać prymat ruchu radykalnego. Po komunie 1871 r., Paryż zdecydowanie traci przodownictwo ruchów radykalno-rewolucyjnych na rzecz Lyonu. Lyon, po dziś dzień, jest Mekką Herriota i herriotowców...

Zagadkowe postępowanie Lyonu z sierpnia 1871 roku, okazało się nie bez poparcia samego Thiersa. Walka o szkołę powszechną ciągnąć się będzie długo. Jej zorganizowanie zostało w tym arcykatolickiem kraju powierzone w y ł ą c z n i e protestantom (Steeg, Buisson). W roku 1922, za rządów Bloku Narodowego, sam Léon Bérard, jako minister oświaty, nie umiał przeszkodzić wyrzuceniu ze szkoły powszechnej nauki religji i zastąpieniu jej nauką socjologji...

Kiedy się dziś spojrzy na te lata bohaterskie Trzeciej Republiki — naprawdę nie wiadomo, kto właściwie wygrał. Wydaje się pewne, że przegrali wszyscy. Przegrał Thiers, obalony w maju 1873. Przegrał Mac Mahon, a z nim Broglie, w r. 1876-7. Przegrali monarchiści. Przegrali wielokrotnie repu-

blikanie konsenwatyści. Przegrywali jednakowoż i radykali, za Panamy, za Poincarè'go, za Clemenceau...

Kto naprawdę wygrał? Czyżby rzeczywiście zrobiła się ta Francja republikańska jakoś sama? Czyżby bohaterem było to „się“?

Naiwny, ktoby temu uwierzył. Powolne ale ciągłe rozwijanie się radykalizmu świadczyłoby, że ktoś jednakowoż nad nim czuwa. Tym kimś są niewątpliwie tajne związki masońskie.

Thiers za młodu był węglarzem i przysięgał zgubę panującym dynastjom. Epizod z Lyonu świadczy, jak głębokie były jego związki z antyklerykalną masonerją. Tylko ukryta organizacja masońska zdoła wyjaśnić, że mimo wszelkie zmierzchy radykalizmu, ogólna linja rozwoju opinji wyborczej francuskiej idzie wciąż na lewo. Naturalna siła ciążenia bohaterskiego „się“—tu nie wystarcza. Wyborca urabiany jest w lwiej części przez nauczyciela ludowego, a ten umiejętnie i organizacyjnie został pochwycony w tryby masońskie, odrazu z pierwszemi miesiącami istnienia *régime*'u.

Jeżeli mimo to wszystko, Francja w głównym swym trzonie narodowo-społecznym ostała się jako wzór tężyzny i odporności, zawdzięcza to swoim dawnym tradycjom i tysiącletniej pracy narodowych dynastyj. Główny zrąb był gotów u końca 18 wieku i nie zdołała go nadwyrężyć Rewolucja, ani też umiał obalić bezpański i wcale bezmyślny politycznie wiek XIX.

Historja Trzeciej Republiki jest pouczająca. Główną siłą na przyszłość wydawało się powszechne głosowanie. Elita narodu, Flaubert, Renan, George Sand, Taine, odnosiła się doń z przerażoną nieufnością, prawie nienawiścią, widząc w niem stałą groźbę niwelacji wszelkich wyższych wartości społecznych. Co trzeźwiejsi politycy natomiast w lot pojęli, już w pierwszym roku *régime*'u, że jest to głosowanie powszechne niezdarną potęgą, którą trzeba będzie usidlić i zeskamotować[1]). Postarała się o to masonerja.

Stąd wojna zaciekła, wydana przez masonów i katolicyzmowi i tradycjom narodowo-monarchicznym we Francji. Szczęśliwy kraj, który miał takie dwie podpory, wrosłe w organizm narodowy, i utrzymujące jego spójnię nawet mimo jego woli.

Polska z tych dwu więźb ma tylko jedną: rzymski katolicyzm, wraz z jego zdumiewającą organizacją i dyscypliną. Mimo swych szczytnych i dawnych tradycyj, dyscyplinę narodową musi dopiero wykuwać: jest to szczytne i bohaterskie zadanie polskiego nacjonalizmu.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

[1]) Współcześnie, jeden z deputowanych, zbliżonych do ówczesnej lewicy, użył tego określenia!

„PAŃSTWOWOŚĆ“ A „NARODOWOŚĆ“

W PRACACH WŁOSKICH PISARZY POLITYCZNYCH

IDEA I HASŁA, przeniesione z jednego kraju i społeczeństwa do drugiego, zmieniają niekiedy radykalnie swoją treść. Tak właśnie stało się z faszystowskiem hasłem państwowości, jako naczelnej zasady zbiorowego życia, podjętem i, jak zobaczymy, zupełnie odwróconem przez głoszące je u nas czynniki.

Zasadą państwowości zajmuje się szereg publicystów włoskich z ostatnich lat.

Ustalone i najbardziej zasadnicze poglądy na rolę, jaką wyznacza faszyzm państwu, reasumuje w niewielkiej pracy, „*Lo stato fascista*“, wydanej przez Instytut Wiedzy Faszystowskiej, Giulo de Montemayor.[1]) Po krótkim zarysie przemian w poglądach politycznych, jakie wytworzyły w umysłach współczesnych wielka wojna i bolszewizm, autor charakteryzuje faszyzm, jako wynik tych przemian i reakcję, wywołaną przez bolszewizm, nie wahając się jednak zaznaczyć i pokrewieństw między faszyzmem z jednej strony, a zwalczanemi przez faszyzm socjalizmem i bolszewizmem z drugiej. Przeprowadziwszy afiljację między założeniami faszyzmu a opinjami pisarzy politycznych ostatnich dwóch stuleci, którzy w pracach swych krytykowali ustrój demokratyczny lub jego podstawowe zasady, dotyka w książce kwestji międzynarodowej finansjery, roli Żydów w ruchach komunistycznych, sposobów przy których pomocy żydowska finansjera dąży do opanowania państw, wreszcie środków, dzięki którym faszyzm wyzwolił państwo z pod międzynarodowych wpływów. Jasno i precyzyjnie omawia organizację i prawodawstwo państwa faszystowskiego, system wyborczy, oparty, jak wiadomo, na przedstawicielstwie organów życia ekonomicznego i kulturalnego, syndykatów i stowarzyszeń, oraz cały ustrój korporacyjny i rolę, jaką odgrywa w państwie partja faszystowska. Książka może służyć cudzoziemcowi jako doskonały wstęp do gruntownego zapoznania się i z teorjami faszyzmu w zakresie państwowości, i z ustrojem państwa faszystowskiego.

Na poziomie twórczych prac, wnoszących w traktowane dziedziny nowe wartości, stoją poświęcone zagadnieniom państwa i narodu prace dwóch wybitnych pisarzy i przyjaciół, którzy i w publicystyce i w filozofji szli długi czas ręka w rękę, aby potem oddalić się na obu tych polach od siebie, B. Croce'go i G. Gentile'go.

Wydane w 1925 r. „*Elementi di politica*“ Croce'go[2]) zawierają zwięzłą filozofję polityki, którą autor, wraz z historją polityczną i empiryczną wiedzą polityczną, traktującą o przejawach życia publicznego, ich stosunku, prawach przyczynowości i współdziałania, uważa za jedną z trzech składowych części teorji polityki. W części książki, poświęconej historji filozofji polityki w poszczególnych rozdziałach omawia autor teorje Macchievellego i Vico, prawo naturalne J. J. Rousseau, państwo etyczne Hegla, teorje Hellera, teorje eklektyczne Bluntschli'ego, Treitschke'go i innych. W osobiste poglądy autora pozwala nam wniknąć najlepiej rozprawka, poświęcona „historji etyczno-politycznej“. Autor pragnie, aby historja stała się „historją wiar w najszerszem tego słowa znaczeniu, w jakiejkolwiek formie się one przejawiają, o ile tylko stają się źródłem i podstawą działań, a zatem czynnikiem postępu cywilizacji“, przeciwstawiając tak pojętą historję zarówno historji ekonomiczno-poli-

[1]) „*Lo stato fascista*“, Sandron ed., Palermo—Roma, 1928.

[2]) „*Elementi di politica*“, Laterza ed., Bari, 1925.

tycznej, jak ją pojmował materjalizm historyczny, jak i niemieckiej *Staatsgeschichte*. Jest przeciwnikiem teorji, uznającej państwo za jedyną rzeczywistość etyczną, z zapomnieniem o innych formach życia zbiorowego, jak Kościół, społeczeństwo i t. p., przeciwstawia się tu zatem Gentilemu, urzędowemu niejako teoretykowi faszyzmu, temu właśnie, którego teorja państwowości znalazła tak szeroki oddźwięk i u nas; zarówno jednak, jak wielu zagranicznych zwolenników tej teorji, Croce wulgaryzuje ją nieco i pojmuje wskutek tego opacznie.

Jakkolwiek książka Gentile'go, poświęcona w najznaczniejszej swej części rozważaniom idei państwa i narodu, wydana p.t. „*Que cosa è il fascismo*"[3]) —(Co to jest faszyzm), a będąca zbiorem wykładów, wygłoszonych przez autora w Uniwersytecie Faszystowskim w Bolonji i na Kongresie Wiedzy Faszystowskiej w tejże Bolonji w 1925 r., wyszła w tym samym roku, co i książka Croce'go, jest ona w znacznej mierze odpowiedzią na zarzuty Croce'go.

Do odpowiedzi na pytanie, „co to jest faszyzm" niewielu ludzi miało tyle danych, jak właśnie Gentile, jeden z współtwórców faszyzmu, człowiek, który wywarł swego czasu wielki wpływ na Mussoliniego i pogląd tegoż na narodowość, i który swemi pracami wychował to pokolenie Włochów, które stworzyło faszyzm. Powołany, natychmiast po dojściu Mussoliniego do władzy, na ministra oświaty, dokonał Gentile na tem stanowisku reformy szkolnej, nazwanej przez Mussoliniego „najbardziej faszystowską z reform". Jako senator i członek Komisji Ośmnastu dla zreformowania Konstytucji, przykładał czynną rękę do konstytucyjnych przeobrażeń faszyzmu. Jako przewodniczący Narodowego Instytutu Wiedzy Faszystowskiej prowadzi do dziś pracę nad kształtowaniem ideologji kierunku. Jeśli dodamy, że jest wybitnym filozofem (Gentile, który wraz z Croce'm wznowił we Włoszech filozofję idealistyczną, nazywa swój system spirytualizmem radykalnym), że jest człowiekiem, obdarzonym wybitnym talentem publicystycznym, umiejącym uderzyć czytelnika jaskrawem postawieniem kwestji (w jednej ze swych prac potrafił np. rzucić twierdzenie, że Giordano Bruno, gdyby był ministrem oświaty, wprowadziłby do szkół naukę religji, i to właśnie w formie katolicyzmu, jak to uczynił on sam), zrozumiemy, jak wielki wpływ wywiera na umysły i jaką zatem wagę dla współczesnych Włochów ma również jego teorja państwowości.

Podstawą i uzasadnieniem tej teorji jest zdanie, że jednostka poszczególna, traktowana w oderwaniu od społeczeństwa, jest tylko wytworem imaginacji, że jednostka istnieje tylko w historji, t. j. jako członek danego społeczeństwa, wytworzonego przez historję, — poza społeczeństwem istnieć nie może. Człowiek nie może przestać być członkiem cywilizacji, członkiem danego kraju. Jego przynależność do społeczeństwa nie jest czemś z nim związanem, jest nim samym. Skoro zaś przynależność jednostki do społeczeństwa jest nią samą, nią samą jest również i państwo.

Bo „państwo" Gentile'go nie jest to, jak powiada Gentile, „państwo, pojęte materjalistycznie i biurokratycznie", „zbiór organów, zapomocą których rząd spełnia swoje funkcje", nadbudowa, która się narzuca z zewnątrz inicjatywie jednostek, aby ją podporządkować sobie, i „arbitralna wola pierwszego lepszego, który przyjdzie". Nie są to „portfele ministrów" czyli rząd. „Wywyższam ideę państwa, które nie jest rządem", mówi Gentile.[4])

Czemże jest zatem Państwo, jak je pojmuje Gentile? Jest to „ta sama osobowość jednostki, wyzbyta z różnic przypadkowych i interesów poszczególnych, nie mających wartości dla tej zbiorowości, która jest naszą rzeczywistością", jest to „osobowość, sprowadzoną do najgłębszej świadomości, gdy indywiduum czuje, jako swój interes, interes ogółu i chce, jako wola wspólna". Jest to zatem, „wielka wola narodu", t. j. pragnienia, jakie żywi naród i cel, do którego dąży, „misja narodu".[5])

Jednostka nie może istnieć poza społeczeństwem. Ale to społeczeństwo nie jest jakiemś społeczeństwem abstrakcyjnem, jest tym narodem, którego jednostka jest członkiem. Jak nie możemy stanąć poza społeczeństwem, tak nie możemy również wyzbyć się obowiązków wobec narodu. „Państwo to idea żywa, urzeczywistniająca się i stanowiąca nasz obowiązek, którego nie możemy się wyrzec, to Ojczyzna nieśmiertelna, która jest naszem życiem i naszą śmiercią". I znowu w innem miejscu: „Państwo — to naród".[6])

Jak widzimy więc, nie tylko nie przeciwstawia Gentile państwa narodowi i „państwowości"— „narodowości", ale identyfikuje je z sobą całkowicie.

Omawiane tu książki Croce'go i Gentile'go, poświęcone idei państwa i narodu, mają jeszcze jedną cechę wspólną: obie poruszają kwestję etyki i polityki, w ojczyźnie Macchiavellego dyskutowaną bardzo żywo i często. Croce, zastanawiający się nad kwestją teoretycznie, jest zwolennikiem poglądu, że między etyką a polityką kontrast i konflikt nie istnieją. Gentile, który przystępuje do kwestji raczej od jej strony praktycznej, porusza w swojej pracy takie np. zagadnienia, jak — w bardzo pięknem przemówieniu — kwestję gwałtów faszystowskich, albo „pobłażliwości", karygodnej, gdy stosowana jest wobec siebie samych, ale karygodnej także, gdy stosowana jest wobec innych i t. p. Znajdujemy wreszcie w jego książce żywą ilustrację tego, w jaki sposób wielki wychowawca faszystów wciela swoje teoretyczne wywody na temat stosunku jednostki do Państwa-Narodu w praktyczne życie polityczne partji, gdy czytamy, jak na Kongresie faszystowskim w Bolonji w 1925 r. Gentile stojąc przed zgromadzonymi faszystami, rzuca im zapytanie: „czy wówczas, gdy interesy nasze kolidowały z interesem Ojczyzny, nie ustąpiliśmy nigdy wymaganiom naszego egoistycznego instynktu?"

Bo jeżeli w poglądach Gentile'go na państwo odnaleźć możemy ślad teorji Hegla i Stahla, jeżeli on sam doszukuje się pokrewnych swym poglądom pierwiastków w pracach filozofów włoskich, Gioberti'ego i Vico, to jednak jego teorja państwowości jest przedewszystkiem kulminacyjnym punktem tego wysokiego napięcia uczuć narodowych, które jest istotą faszyzmu.

MARJA STECKA

[3]) „*Que cosa è il fascismo*", Vallecchi ed., Firenze, 1925.

[4]) „*Que cosa è il fascismo*".

[5]) G. Gentile „Reforma wychowania", wyd. po polsku przez Książnicę - Atlas w tłumaczeniu autorki niniejszego artykułu.

[6]) „*Que cosa è il fascismo*". str. 104.

SIR WALTER SCOTT

(15 SIERPNIA 1771 — 21 WRZEŚNIA 1832)

PO STŁUMIENIU ostatniego z powstań jakobickich w r. 1745 i 6, Szkocja musiała pogodzić się z losem czyli z dynastją hanowerską i z zawartą jeszcze w r. 1707 unją z Anglją. Pragnąc jednak utrzymać swą odrębność, społeczeństwo wzięło się z zapałem do kultywowania tradycji narodowej, do nauk, do poezji. Taki charakter ma blisko sto lat następnych ruchu umysłowego i literatury. Rozkwita wnet filozofja (Hume), historja (Hume i Robertson), pojawia się ekonomja polityczna (Smith). Chęć wykazania, że Szkocja miała równą Homerowej poezję epicką wtedy, gdy reszta Europy jeszcze mówiła po łacinie lub nie umiała pisać, skłania Macphersona do fałszerstwa, które na jakiś czas olśniewa świat cały. Z Burnsem, genjalnie uzdolnionym synem chłopskim, pojawia się jeden z największych liryków literatury powszechnej. Wreszcie występuje Scott. I on tworzy *ad maiorem gloriam Caledoniae.*

Jeżeli idzie o oznaczenie związku między jego twórczością, a pochodzeniem i życiem, ważniejsze jest może pochodzenie. Ród był stary i jeszcze w XIII w. wydał sławnego Michała Scotta, który uchodził za potężnego czarnoksiężnika. Siedzieli Scottowie później już nad granicą angielską i trudnili się patrjotycznym rozbojem, porywając trzody angielskie, przyczem nieraz lała się obficie i krew ludzka. Jeden z nich, schwytany przez angielskiego rycerza, otrzymał do wyboru stryczek lub małżeństwo z najbrzydszą z jego brzydkich córek — i Walter odziedziczył po tej antenatce usta od ucha do ucha. Innemu przodkowi poety skonfiskowano dobra za wierność Stuartom. Zrobił wówczas ślub, że nie będzie strzygł ani golił brody, póki wygnana dynastja nie odzyska tronu, więc, jak mówi Sir Walter, utracił majątek, ale zatrzymał brodę. Dziadek Waltera miał zostać hodowcą owiec, ale za sumkę, którą pożyczył na ich zakup, nabył wspaniałego rumaka, a pojawiwszy się na nim na polowaniu u zamożnych krewnych, sprzedał go za podwójną cenę i dopiero wtedy wrócił do owiec.

Miał więc poeta w rodzie tradycje rycerskie, patrjotyczne, jakobickie i awanturnicze. Czasy zmieniły się — ojciec był już adwokatem i przeznaczał syna do tego samego stanu. Studjował więc Walter prawo, ale też czytał historyków oraz poetów i zbierał podczas wycieczek stare ballady po chatach. Utykał lekko na nogę, nie mógł więc zaciągnąć się do wojska i walczyć przeciw nienawistnemu Korsykaninowi. Z czasem otrzymał dwa dobrze płatne urzędy, ale majątek zawdzięczał pióru. Nabył dobra ziemskie i zbudował sobie wspaniały zamek w Abbotsfordzie, gdzie spędził długie lata, prowadząc dom otwarty i oddając się wiejskim rozrywkom. W uznaniu zasług literackich Jerzy IV nadał mu tytuł baroneta. W r. 1826 dotknęło Scotta bankructwo firmy wydawniczej, której był cichym wspólnikiem. Postanowił pokryć jej pasywa, wynoszące około 130.000 funtów i ostatnie lata życia spędził na pracy ponad siły, aż go wytężenie zabiło.

Twórczość Scotta można podzielić na trzy okresy. Pierwszym bodźcem do niej było studjum współczesnej poezji niemieckiej — w tym czasie powstał przekład „*Goetza von Berlichingen*“ i naśladowania tego dramatu, przekład „*Lenory*“ i innych utworów Bürgera. Prawdziwą wartość mają jedynie te z oryginalnych ballad Scotta, w których opiera się on na rodzimych wzorach lub nawiązuje do historji, odrzucając pierwiastek nadprzyrodzony (tak jest w tłumaczonym przez Odyńca „Zamku w Cadyow“). Dramaturgiem nie miał Scott nigdy zostać, chociaż jeszcze później wrócił do twórczości scenicznej. Koroną pierwszego okresu jest wydane w r. 1802 w dwóch wielkich tomach „Pieśniarstwo pogranicza szkockiego“, zbiór zabytków poezji ludowej, często uzupełnianych własnym tekstem. Udział paru innych literatów był skromny. W skład dzieła weszły także cenne studja krytyczne poety. Metoda jego nie jest ściśle naukowa, ale brak ten wynagradza rozległa wiedza, intuicja i bystrość sądu, nie dającego się sprowadzić z właściwej drogi pozorom i uprzedzeniom. Warto zaznaczyć, że Scott mimo całego swego patrjotyzmu uważał „Ossjana“ za fałszerstwo.

W r. 1805 ukazała się „Pieśń ostatniego minstrela“, pierwsza prawdziwa powieść poetycka. Widownią akcji jest pogranicze, a wybitną rolę grają w niej łupieżcze wyprawy, urastające do rozmiarów wojen. Intrygę miłosną przyćmiewają inne epizody — wyprawa po czarodziejską księgę do grobu Sir Michała Scotta, najazd angielski i sąd Boży. Słabą stronę stanowi pierwiastek nadprzyrodzony. Całość jednak świetnie oddaje ducha epoki i środowiska, odznacza się też żywością opowiadania, którą potęguje forma, wiersz o czterech akcentach i dowolnej ilości zgłosek nieakcentowanych. Scott zapożyczył go bezwiednie z poznanego w rękopisie fragmentu „Krystabeli“ Coleridge'a.

Nadzwyczajne powodzenie poematu zapewniło Scottowi na lat kilka niekwestjonowane przez nikogo stanowisko największego poety angielskiego. Dał tej opinji wyraz Byron, w którego papierach znaleziono rodzaj graficznie przedstawionej klasyfikacji współczesnego Parnasu brytyjskiego z nim na pierwszem miejscu.

W r. 1808 wyszedł „*Marmion*“, któremu uroku dodają liryczne wstępy do poszczególnych pieśni — z opisami przyrody, apostrofami do przyjaciół i aluzjami do wypadków bieżących. Szczyt jednak poetyckiej twórczości Scotta stanowi „Dziewica z jeziora“ (1810), rzucona na malownicze tło gór szkockich, a zawierająca również sceny, dziejące się na nizinach. To przeciwstawienie miał poeta niejednokrotnie powtórzyć. Obraz przesądów góralskich i pieśń starego minstrela o bitwie wybijają się na czoło utworu, który nadto usiany jest wplecionemi lirykami, przeważnie o znacznej wartości. Stanowią one rodzaj gamy — od hymnu pogrzebowego do swawolnej pieśni pijackiej. Warto wspomnieć, że od daty „Dziewicy z jeziora“ rozpoczęło się masowe zwiedzanie grupy górskiej *The Trosachs* szczytu Benvenue, jezior Achray i Katrine.

Niestety dalsze powieści poetyckie Scotta były słabsze. Zarzucił on był już w „Marmionie“ piękną, oryginalną, na prastarych wzorach rodzimych opartą formę, używając w nim zwykłego ośmiozgłoskowca, czasem wiązanego w zwrotki. Zachował żywość opo-

wiadania, lecz albo wybierał tematy nieodpowiednie (w „Rokeby“), albo powtarzał stare motywy (bitwa w „Panu wysp“ nie wiele różni się od bitwy w „Marmionie“). W r. 1812 ukazały się pierwsze pieśni „Wędrówek Childe Harolda“ i na widownię wszedł groźny współzawodnik w osobie Byrona, którego wschodnie powieści poetyckie przyćmiły wnet sławę poetycką Scotta. Zrozumiał on, że trzeba szukać nowego rodzaju.

Były przed nim próby stworzenia powieści historycznej, lecz albo odbiegano zbyt daleko od prawdy, wypisując na marginesie dziejów prawdziwe awantury arabskie, albo gubiono się w masach mozolnie gromadzonych szczegółów obyczajowych i odstraszano czytelnika próbą rekonstrukcji angieszczyzny z przed szeregu wieków. Na pograniczu przeszłości i teraźniejszości stanęła Marja Edgeworth, dając w „Zamku Rackrent“ barwną opowieść o czterech pokoleniach szlachty anglo-irlandzkiej. Uwieczniła tym sposobem zamierające już w danym momencie lub zamarłe obyczaje i stosunki. Scott postanowił tę samą usługę oddać Szkocji, w której również życie szybko przybierało nowoczesne formy, rozszerzające się także na góry — jeszcze około połowy XVIII w. hołdujące organizacji klanowej, uzbrojone, używające tej broni przy lada sposobności i przestrzegające narodowego stroju. Odrazu jednak postanowił wprowadzić jako tło ważny wypadek historyczny — powstanie ks. Karola Edwarda, z którego echami nieraz spotykał się w domu rodzicielskim i wogóle w otoczeniu. Pisząc w r. 1804, dał powieści tytuł „Waverley czyli Sześćdziesiąt lat temu“. Czytał pierwsze rozdziały znajomym, którzy jednak osądzili je dość surowo. Wobec tego zaniechał tej pracy. W r. 1814, szukając sznurków do wędek, znalazł rękopis i wziął się do dalszego ciągu. W niecałe dwa miesiące później oddał „Waverley'a“ do druku.

Nie położył nazwiska na karcie tytułowej. Może uległ cechującemu w. XVIII pociągowi do mistyfikacji, może—jak twierdzi jego biograf Lockhart—uważał, że wyższemu urzędnikowi sądowemu i administracyjnemu nie wypada się parać prozą. Jeżeli jednak nie był pewny powodzenia, to przyjęcie przez publiczność powieści sprawiło mu rozkoszną niespodziankę. Nakład został rozchwytany. Społeczeństwo angielskie dopiero dzięki „Waverley'owi“ zdało sobie sprawę, że w odległości paruset mil i lat kilkudziesięciu istniał wśród cudnej przyrody odrębny świat romantyczny, oparty na organizacji rodowej i ślepej wierności względem naczelnika, mieszający rozbój z rycerskim obyczajem, rozbrzmiewający prastarym językiem, niezrozumiałym dla Anglika, a nawet dla Szkota z nizin, i z pokolenia w pokolenie podawaną pieśnią. Resztę zrobił starannie obmyślony wątek i humorystyczna postać barona Bradwardine z Tullyveolan.

„Waverley“ dał początek długiemu cyklowi, drukowanemu przez lat 12 pod pseudonimami, a obejmującemu—wraz z paru utworami końcowemi z lat 1826 do 1830 — 48 tomów. Początkowo trzymał się Scott Szkocji, najdalej cofając się do połowy w. XVII. „*Old Mortality*“ przynosi obraz walk religijnych za ostatnich Stuartów ze skontrastowanemi postaciami słynnego rojalisty Claverhouse'a, który prześladował skrajne sekty szkockie, i Burley'a z Balfour, który jako przywódca jednej z nich, powodowany dzikim fanatyzmem, zamordował prymasa urzędowego Kościoła i podniósł chorągiew buntu. Postać Claverhouse'a, srodze oczernionego przez wigów, opierała się poniekąd na tendencji rehabilitacyjnej. Prawda była zresztą pośrodku. Dość, że pojawiły się zarzuty.

Scott odpowiedział najlepszą swą powiecią „Serce Midlothian“, w której przedstawił następne pokolenie sekciarzy szkockich—wobec zmienionych warunków wyleczone już z krwiożerczego fanatyzmu, znoszące bez szemrania ubóstwo, pracowite, pobożne i niesłychanie prawe. Joanie Deans jest zapewne najlepiej udaną postacią kobiecą Scotta, który naogół nie celował pod tym względem. Laird Dumbiedikes stanowi nieśmiertelny typ wiejskiego szlachcica z nizin, a Meg Wildfire zasługuje na pierwsze miejsce w galerji umysłowo upośledzonych i obłąkanych z dzieł Scotta. Urozmaicenie tła przynosi piesza podróż Jeanie do Londynu, pozwalająca autorowi wprowadzić obrazy obyczajowe z północnej Anglji, a później postać Karoliny, żony Jerzego II. Wogóle powieść ta odznacza się wielkiem bogactwem charakterystyki i bardzo urozmaiconą, choć po części z żywiołów sensacyjnych zbudowaną akcją.

„Rob Roy“ opiera się znowu na dwóch kontrastach — między górami, a nizinami szkockiemi i między północną Anglją, tętniącą bujnem życiem wiernej Stuartom szlachty wiejskiej, a południem, handlowem, postępowem i oddanem dynastji hanowerskiej. Jest tu wyborna postać Nicolla Jarvie, który pochodzi z gór, a choć dorobił się majątku w Glasgow i został w niem nawet ławnikiem, dochowuje solidarności klanowej.

„Oblubienica z Lammermoor“ przenosi nas w ostatnie lata w. XVII, mieści jednak tylko dalekie echa wypadków historycznych. Jest to, opowiedziana z niezwykłą na Scotta koncentracją szczegółów i siłą, tragedja rodzinna z umiarkowanie, a efektownie traktowanym pierwiastkiem nadprzyrodzonym.

Rok 1820 przyniósł pierwszą powieść Scotta z odleglejszej przeszłości i z poza Szkocji. „Ivanhoe“ maluje czasy Ryszarda Lwie Serce—nie bez pewnych omyłek obyczajowych i chronologicznych, ale z imponującym wynikiem ogólnym. Mamy tu znowu kontrast, tym razem między Saksonami a Normanami, powoli zlewającymi się w jeden naród angielski. Akcja powtarzająca pewne motywy „Marmiona“ jest żywa i urozmaicona, dzisiejszego czytelnika jednak razi nieprawdopodobieństwem oraz obfitością żywiołów sensacyjnych. Scott stosował się też do gustu czytelników, których t. zw. romans grozy przyzwyczaił do nagłych zwrotów i cudownych ocaleń.

Nastąpił „Kenilworth“ z czasów Elżbiety, potem dwie powieści, przedstawiające walkę protestantyzmu z katolicyzmem w Szkocji. Mimo anglikańskich uprzedzeń autor starał się tu być bezstronnym, a w Marji Stuart z „Opata“ stworzył postać pełną królewskiej godności i budzącą sympatję. „Losy Nigela“ są doskonałym obrazem Londynu z początku XVII w., a wprowadzony w nich Jakób I jest zapewne u Scotta najlepszą postacią panującego.

W r. 1823 wydał Scott „*Quentina Durwarda*“, pierwszą powieść dziejącą się na kontynencie. Bohaterem, jak w „Losach Nigela“, uczynił Szkota i miał ten pomysł jeszcze niejednokrotnie powtórzyć. Interesują jednak najbardziej postaci historyczne — Ludwik XI i Karol Śmiały. Świat mie-

szczański Liége malowany jest z pewną tendencją parodystyczną, cyganie z romantyczną pogardą realizmu. Z tem wszystkiem jest to bardzo dobra powieść i przyczyniła się ogromnie do popularności autora we Francji, a także wogóle na stałym lądzie Europy.

„Redgauntlet“ stanowi rodzaj epilogu do cyklu szkockiego. Widać tu zmniejszenie się jakobickich sympatyj Scotta, który nadal uznaje lojalność i bohaterstwo bojowników o prawa Stuartów, ale potępia ich intrygi, nie liczące się z rzeczywistością i zakłócające normalne życie Szkocji. Występuje tu raz jeszcze Karol-Edward, o wiele mniej sympatyczny od narysowanego w „Waverley'u“. Od całej powieści większą wartość ma wpleciona „Opowieść włóczęgi Williego“, z humorystycznie traktowanym żywiołem nadprzyrodzonym. Powstała zapewne pod wpływem sławnego „Toma O'Shanter“ Burnsa, ale wytrzymuje z nim porównanie.

(Dok. nast.) WŁADYSŁAW TARNAWSKI

DWA TYSIĄCE KILOMETRÓW PUSTYNI

PANNA czy młodziutka mężatka[1]) — z fotografji tego się przecie nie pozna — a z wielu szczegółów jej książki sądząc, zapewne córka kresowego domu polskiego, postanowiła sobie pewnego dnia: zamiast obijać bruk po Warszawie, wezmę i pojadę na Saharę. Właśnie na Saharę. Wzięła i pojechała. I to nie na pierwszą z brzegu oazę saharyjską tuż za Algierem, lecz dwa tysiące, powtórzmy to sobie: dwa tysiące kilometrów — więc dwa razy tyle, co z Warszawy do Leningradu — najszczerszą, najautentyczniejszą pustynią, aż do samego Hoggaru.

Telepała się dobre kilka miesięcy, przebywała po najbardziej zakazanych zakątkach, wkręciła się wszędzie, gdzie tylko mogła, wybadała wszystko, wywiedziała się o wszystkiem i oto z jej wrażeń powstała ta naprawdę zajmująca książka: „W sercu Sahary”.

Niema co taić: dzieło ma 523 strony, nie licząc obszernych przypisów naukowych. Ale długość książki mierzy się nie ilością kart, lecz tem, czy wzbudza zainteresowanie, czy nie. Znam cieniutkie broszurki, które są bardzo d ł u g i e—znam tomiska, wydatne na wagę, które jednak czytało się krótko, bo na każdej stronie przynosiły coś zajmującego. „Serce Sahary” należy do książek — „krótkich“.

Pierwszą zaletą jest to, że z opisów w i d z i m y kraj. Obrazowością, porównaniami, zestawieniami umie autorka tak plastycznie przedstawić nam wygląd zewnętrzny, kolor, charakter, nawet profil geologiczny tego giganta pustynnego, że ani na chwilę podróż p. Ciechanowieckiej nie odbywa się dla nas w abstrakcji, lecz niemal jedziemy wraz z nią, obserwujemy spotykane fenomeny, wraz z nią doznajemy to jej umęczeń turystycznych, to jej radości malarskich i psychoznawczych, zapoznajemy się z mitami, ludźmi, typami i „typkami“.

„Serce Sahary“ koryguje nam przedewszystkiem nasze uproszczone pojęcia o wyglądzie tych niezmierzonych przestrzeni. Zazwyczaj Saharę widzimy naszą wyobraźnią jako lekko pofalowaną płaszczyznę, niezmiennie pokrytą lotnym piaskiem. Opisy p. Ciechanowieckiej pokazują nam, jak rzeczywistość odbiega od naszych „filmowych“ pojęć. Sahara co kilkaset, jeśli nie co kilkadziesiąt kilometrów coraz to innym jest krajem.

Jest górzysta i skalista. Dość powiedzieć, że ów Hoggar, cel wojażu naszej podróżniczki, położony jest na wysokości 1.400 z czemś metrów nad powierzchnią morza, czyli o 500 m. wyżej od Krupówek w Zakopanem. Są okresy, kiedy tam człowieka piecze upał jak na rożnie, ale są tygodnie, kiedy się brodzi w śniegu i dygoce z zimna. Oczywiście w północnej części pustyni. Następnie charakterystyką Sahary jest jej kamienistość. Całemi godzinami nieraz automobil przebija się przez sterczące skały, jary i labirynty kamienne. Nie brak i niezmierzonych bagien, jeśli bagnami nazwiemy groźne grzęzawiska. Są pustkowia, na których żadna trawka nie wyrośnie, ale nawet poza oazami znajdują się przestrzenie, na których jednak człowiek żyje i pasie swoje stada.

P. Ciechanowiecka napotykała miasta, które liczą sobie dziewięć stuleci istnienia. Niechby na początku w każdem z nich mieszkało tylko po dwoje ludzi, to i tak przez dziewięćset lat rozmnożyliby się przecie w tysiące. A w rzeczywistości, miasta te zakładały już wówczas, przed tysiącem lat, całe plemiona, które dziś rozsiadły się na znacznych przestrzeniach pasterskich. Oazy, które przywykliśmy brać za j e d y n e miejsca, gdzie na Saharze może żyć człowiek, są ośrodkami i jakby stolicami, koncentrującemi życie rozpierzchłej na setkach kilometrów ludności. Są tu autochtoni berberowie, są ich najeźdcy arabowie, są mieszańcy i odszczepieńcy mozabici, są tuaregowie nieznanego pochodzenia etnicznego. Wszyscy siedzą po rozpadlinach skalnych od wieków. Potem przybyli Francuzi, przelotni lub „zsaharyzowani“, zaczadzeni swoistym czarem pustyni. Najrozmaitsi inni Europejczycy, przeważnie emeryci legji cudzoziemskiej, oczywiście żydzi, a ostatnio, po przewrocie bolszewickim — Rosjanie emigranci, wcale liczni.

Oto kilka drobnych szczegółów, jakie wiadomości nasze zawdzięczać mogą lekturze „Serca Sahary“. Takich szczegółów jest nieprzebrana moc. Autorka należy do tych organizacyj intelektualnych, które umieją patrzeć i umieją wnioskować. Każdy dzień, przebyty na Saharze, dawał jej moc materjału poznawczego z krajobrazu, geografji, etnografji, historji i bieżącego życia, jakie tu wiodą tubylcy i przybyli na Saharę Europejczycy, misjonarze, zakonnicy, żołnierze, kupcy, globtroterzy. Opisuje nam to wszystko p. Ciechanowiecka, jakby wśród znajomych opowiadała od niechcenia swoje przeżycia i ta prostota, to uniknięcie wszelkiego wymuszenia literackiego daje dziełu prawdziwą świeżość, bezpośredniość i plastykę. Oczywiście prostota ta wsparta jest inteligencją, oczytaniem się w literaturze, dotyczącej przedmiotu, no i kulturą, przy której wszystko, nie wyłączając doznań wzrokowych, inny przybiera kształt i inny przybiera smak: wyższy i jakby *a priori* syntetyczny.

Przybyła nam dzielna podróżniczka i przybyła nam naprawdę interesująca książka.

ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI

[1]) Ludwika Ciechanowiecka: „W sercu Sahary“ — Warszawa 1932 — Wydawnictwo księgarni Szylinga.

NA WIDOWNI

Po śmierci ś. p. Wigury i Żwirki —Odruchowa postawa mas.—Naród się odnalazł. — Dobrowolność. — Jedność.— Dobre wyniki złego „państwowego wychowania".

WARTO powrócić myślą do niedawnych wydarzeń: do radosnego powitania, zgotowanego przez społeczeństwo powracającym ze zwycięskiego lotu por. Żwirce i inż. Wigurze, i do bolesnej, lecz nie mniej trjumfalnej chwili ich pogrzebu—zaledwie w kilka dni później. Warto powrócić, ponieważ w tej odruchowej postawie mas, której byliśmy świadkami, z wyjątkową mocą ujawniła się owa więź mistyczna, która istnieje zawsze, ale nie zawsze w powszedniem, codziennem życiu jest widoczna,—przez wielu nierozumiana, niedoceniana, dopóki we własnej duszy nie uświadomią sobie nagle całej jej nieodpartej realności. W takich chwilach bezpośrednich reakcyj psychiki zbiorowej odczuwa się najwyraźniej, jak rzeczywista, niezaprzeczalna jest siła owej wspólnoty moralnej, która nosi nazwę narodu.

Cóż właściwie stanowi istotę tej więzi? Nie chodzi w tej chwili o definicje. To pewna, że zawarte są w niej dwa elementy bardzo ważne: poczucie dobrowolności i poczucie jedności duchowej narodu. Stosunek moralny jednostki do narodu z natury rzeczy odczuwany jest jako dobrowolny, wypływający z wewnętrznego przymusu psychicznego, nie zaś pod działaniem presji materjalnej, zewnętrznej, w jaką z istoty swej wyposażone jest np. państwo dla wymuszenia posłuchu wobec swych praw, niezależnie od stopnia wyrobienia etycznego albo siły uczuć patrjotycznych poszczególnego obywatela. Wówczas dopiero, gdy naskutek działania sił dziejowych, w społeczeństwie choć w pewnej mierze wytworzy się ten wewnętrzny przymus psychiczny, można wogóle zacząć mówić o istnieniu narodu: w tem właśnie piękno idei narodowej, jej wysoka wartość moralna, urok, którym podbija i zniewala przez syntezę swobody i ładu. A z drugiej strony nieodzowne dla życia narodowego jest poczucie organicznej jedności narodu, gdzie to, co łączy, silniejsze jest od wszystkiego, co może dzielić,—jedności instynktowej odruchów i odczuwań, dzięki której członkowie zbiorowości nieświadomie skupiają się w tym samym szeregu, zanim nawet zdąży paść słowo komendy, któraby ich do tego wezwała.

Naród normalny musi znajdować wyraz dla tej spontaniczności i dobrowolności w organizacji swojego życia społecznego i musi mieć niezachwiane poczucie własnej wspólnoty. Gdy prawidłowy rozwój jego sztucznie jest krępowany, gdy jedność jego jest rozbijana, z tem większą skwapliwością instynktowo poszukuje okazyj, żeby swój zdrowy, niekaleki organizm duchowy choć na chwilę w zgodnych z jego naturą postawić warunkach.

Rzesze, co zeszły się witać Żwirkę i Wigurę na lotnisku, a w tydzień potem odprowadzały ich trumny na Powązki, nie przybyły z nakazu. Nie pchał ich tam lęk przed narażeniem się komukolwiek, nie ciągnęło żadne praktyczne wyrachowanie. Ludzie modlili się, płakali. Nie było śladu obojętnej sztywności, towarzyszącej zawsze hołdom oficjalnym, nieszczerym: wzruszenie serdeczne, głębokie ogarniało tłumy, udzielało się wszystkim bez wyjątku,— gorące uczucie wdzięczności i przywiązania, dumy i żalu. Takie potężne przeżycie zbiorowe ma w sobie coś podnoszącego na duchu, oczyszczającego: jakże potrzebował go naród dzisiaj właśnie, demoralizowany obłudą, wdrażany do maskowania swoich przekonań i uczuć, ukrywania swego prawdziwego oblicza! I cóż może mieć bardziej wzruszającą wymowę nad ową dobrowolność bezpośredniego, z serca płynącego wyrazu czci i miłości, o którym doniosły dzienniki:

„Dzień wczorajszy (-(niedziela)-) stał się wielką manifestacją ludności stolicy, składającej hołd prochom bohaterskich lotników ś. p. Wigury i Żwirki. Manifestacją tem więcej charakterystyczną, że przez nikogo nie zapowiadaną...

Od wczesnego już ranka tramwaje, dążące na Powązki, były przepełnione. Na grobach tragicznie zmarłych lotników złożono setki wieńców. Aż do późnego wieczoru obserwować można było nad świeżemi mogiłami bohaterów tłumy, trwające w skupieniu i modlitwie" („Gaz. Warsz." z dn. 19 b. m.).

A wszystko to możliwe było dlatego, że u trumien Żwirki i Wigury naród cały poczuł się jednością. W ostatnich latach tyle robiło się, aby jedność tę rozluźniać i rozbijać, uczyniono tak wiele rzeczy, które musiały pozostawiać osad nienawiści, pogardy, rozgoryczenia, każdy akt, który powinien był się przyczynić do zespolenia dążeń i uczuć narodu, wypaczano w sposób tak małostkowy dla narzucania społeczeństwu osobistej czy grupowej reklamy... Tutaj, wobec trjumfu Żwirki i Wigury, i w obliczu ich śmierci, naród nagle uświadomił sobie nanowo — i w sposób szczególnie wyrazisty — że czuje jedno, że jednako raduje się i smuci, że jeden prąd przebiega miljony dusz, te same wywołując wszędzie uczucia i odruchy. I wdzięczność gorąca za to, dane im, choć przez chwilę, żywe poczucie jedności duchowej narodu, potęgowała, nieświadomie może, wzruszenie tłumów, składających tak wspaniały hołd pośmiertny prochom zwycięskich lotników. Wszakże tak bardzo potrzeba było dziś narodowi tego pokrzepienia, jakie daje poczucie, że stanowi on organizm żywy, jednolity, zdolny pokonać trawiące go od wewnątrz choroby, a nazewnątrz stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom i przeciwnościom.

I tutaj był największy, zagrobowy trjumf ś. p. Wigury i Żwirki, nierównie wspanialszy, aniżeli puhar przechodni, zdobyty na międzynarodowym „*challenge*'u". Wprawić w ruch machinę państwową potrafi każdy minister, przy pomocy rozporządzenia czy okólnika, ale wprawić w ruch mechanizm stokroć subtelniejszy instynktów i uczuć narodu, pobudzić naród do aktów żywiołowych, dobrowolnych, dać mu potężne przeżycie zbiorowe, które go zespala i uszlachetnia — ten zaszczyt przypada niewielu tylko wybranym. Ten jest nad wszystkie cenniejszy.

*

Ś. p. inżynier Stanisław Wigura był wychowankiem i maturzystą gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Warszawie. W kaplicy gimnazjalnej wmurowana jest tablica marmurowa, na niej długa lista uczniów tej szkoły, poległych za Ojczyznę. Jest tam, wśród innych, jedno nazwisko na wieki sławne: nazwisko księdza Ignacego Skorupki.

W tym roku właśnie gimnazjum to pozbawione zostało praw (przeniesione do t. zw. kategorji B), jako ponoć niedość gorliwe w zakresie t. zw.

„wychowania państwowego". Kategorję A (najlepszą) otrzymało w tym samym czasie parę szkół żydowskich. Kierunek wychowawczy gimnazjum im. Zamoyskiego od lat pozostaje bez zmiany. Nie zmienią się i uczniowie szkoły i w dalszym ciągu dawać będą Polsce obywateli, stanowiących chlubę naszego narodu. Jak ksiądz Skorupka, jak Wigura.

JAN REMBIELIŃSKI

Błędy druku. W rubryce „Na widowni" Z. Wasilewskiego w nr. 41 w szp. I na str. 599 wiersz 34 zamiast „obrazy" powinno być „okresy", w szp. 2 w. 16 zamiast „zwykły" ma być „rychły".

GŁOSY

„KONFERENCJA ROZBROJENIOWA, w razie gdyby Niemcy się z niej wycofały, popadłaby w paraliż i musiałaby odroczyć swoje obrady na czas nieograniczony. Byłby to zarazem cios śmiertelny dla Ligi Narodów..." — pisał mniejwięcej przed tygodniem (11.IX) Mussolini. A oto — już jest po fakcie. Powstała sytuacja, jaką przewidywał premjer włoski. Mimo to w tej chwili przedwcześnie byłoby twierdzić, że zaraz spełni się jego proroctwo. Przedwcześnie głównie dlatego, że nie wiemy jeszcze, czy ustąpienie Niemiec z konferencji rozbrojeniowej jest nieodwołalne i czy w samej rzeczy, nie oglądając się na nikogo, ani nie zważając na krępujące zobowiązania traktatowe, przystąpią do zbrojeń. Co do szczerości zamiaru nie może być wątpliwości. Możliwe jednak, że narazie mamy do czynienia tylko z manewrem taktycznym. Z wielu stron Niemcy będą bardzo usilnie i niezmiernie serdecznie zapraszane do ponownego wzięcia udziału w obradach konferencji, z „gwarancją" moralną, że tym razem mocarstwa solennie postanowią zbrojenia swoje jakoś rzeczywiście zmniejszyć i zbliżyć się do poziomu Niemiec. Być może, że szansa ta Niemcom wyda się narazie nie do pogardzenia, — że zatem znów będą figurować wśród uczestników konferencji, i że Liga Narodów tymczasem uniknie kryzysu, który w przeciwnym razie zajrzeć może w oczy już tegorocznemu Zgromadzeniu.

OD ROZWAŻAN TAKTYCZNYCH jednakowoż ciekawsze jest uprzytomnić sobie tragizm sytuacji obecnej, wręcz okrutny, jeśli patrzyć ze stanowiska ideałów liberalno - pacyfistcznych. Chciałoby się rzec, że dożyliśmy końca okresu, w którym hołdowanie hasłom tym było w polityce międzynarodowej możliwe, — gdyby nie to, że, wbrew logice, okres ten jednak się nie skończył. Kto zna religijne niemal przywiązanie sekciarstwa liberalno - pacyfistycznego do swoich zasad i haseł, ten wie, że żadna logika, ani nawet wymowa faktów, nie zniszczą wiary pacyfistycznej, o filoniemieckich sympatjach, w pewnych ośrodkach myśli politycznej na Zachodzie. Jak powiedzieliśmy, mamy w tych wypadkach do czynienia z czemś w rodzaju fanatyzmu religijnego. Pouczają o tem próbki tego fanatyzmu z przed Wielkiej Wojny. W r. 1913 np. wyszło w Anglji studjum polityczne, wykazujące, że Niemcy dzięki swej przewadze militarnej napadną, mianowicie na Francję, i że przytem pogwałcą neutralność belgijską. Jak widzimy, prognoza była wcale dokładna.

Jeden z organów angielskiej myśli krytyczno-liberalnej, *„The Athenaeum"*, odpowiedział na to, że książki tego rodzaju nie mogą się przyczynić do poprawy stosunków między Niemcami i Anglją... Po Wielkiej Wojnie sposób myślenia tych kół się nie zmienił. Podróżnik z Polski, znający swój słabiutki rodzimy pacyfizm, ale nie mający u siebie odpowiednika tej ideologji, wyrosłej z ducha kalwińsko-liberalnego, odwiedzając ośrodki życia umysłowego Zachodu w pierwszych latach po wojnie, zaskoczony bywał tą solenną frazeologją, suggestjonującą hasłami takiemi, jak *„cet esprit plus large"*, *„cet esprit vraiment international"*, *„the spirit of good will"*, *„are we big eneugh to collaborate with all the nations of the world?"*, i t. d. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim mógł zorjentować się wówczas w sile i źródle wpływów tej suggestji w życiu międzynarodowym. Dla uważnego oka już wtedy musiało być widoczne, że ten duch sekciarstwa pacyficznego, wywodzący się, nawet w dużej mierze, wprost z sekciarstwa religijnego, zwłaszcza w krajach anglosaskich, ma swój spory wpływ na przebieg zdarzeń. Wpływ ten z natury rzeczy musiał być najsilniejszy, gdy perypetje wyborcze wynosiły do steru rządów wprost przedstawicieli prowincji umysłowej kraju, jak Snowdena lub Macdonalda, — ale uczuwać dawał się nietylko wtedy.

„THE SPIRIT OF GOOD WILL", w technicznem znaczeniu sympatyj filoniemieckich, miał po wojnie do spełnienia wyraźną zupełnie misję. Miał zapewnić pokój Europie przez podniesienie upadłych po katastrofie wojennej Niemiec do roli mocarstwa, któreby się czuło równem między równemi. Trzeba było odrobić skutki „zwycięstwa", ile było można, bo na „zwycięstwie" jednej strony, a utrzymaniu drugiej w pozycji „zwyciężonego" ideologja ta nie mogła, oczywiście, nic budować. Sedno w tem, że miała to być jednocześnie budowa pokoju. Do interpretowania psychologji Niemców zastosowano, rzec można, metodę szczególnej psychoanalizy. Chcą się zbroić, bo im nie wolno, podnoszą głowę, ponieważ są skrępowani, są nacjonalistyczni, bo zamało honoruje się ich na konferencjach międzynarodowych i w Lidze; chcą łamać prawo, bo muszą płacić odszkodowania i t. d. Lekarstwem na to wszystko miały być ustępstwa. Zauważyć warto, że takiemi pojęciami nie kieruje się nigdy pacyfizm w pozytywnej propagandzie ideałów pokoju. Dobiera więc, jako lekturę dla dzieci, takich książek, gdzie niema mowy o wojnach i bitwach; tymczasem konsekwentne byłoby właśnie karmienie młodzieży (przez Koła Przyjaciół Ligi Narodów i t.p.) literaturą batalistyczną: niech się nią młodzi nasycą, a nie utworzy się zakłócający równowagę ducha „kompleks", i wojny się odechce. Teorji tej w wychowaniu jednak nie potraktowano poważnie... To pewna, że w stosunku do Niemiec ta metoda ich „uspokojenia" święciła przez dwanaście lat trjumf za trjumfem. Była to znana polityka „gestów" życzliwości, z których niewiele zresztą wykonać było można bez ofiar realnych. Odszkodowania krytykowano, zmniejszano, wreszcie — w istocie zniesiono; wprowadzono Niemcy do Ligi, a w Lidze do Rady; przed czasem porzucono terytorjalne zastawy nad Renem; skasowano

kontrolę wojskową, a ostatecznie zgodzono się (w gruncie rzeczy), że Niemcy odtąd będą się zbroić, jak chcą. Przymus w stosunku do zwyciężonego mocarstwa zniknął, rzecz można, zupełnie. Nie w tem, ma się rozumieć, tragedja pacyfizmu, — lecz w tem, że odtąd robić więcej gestów życzliwości dla Niemiec niema z czego, i to właśnie w dobie, kiedy najwięcejby się przydały, bo najmniej w Niemczech pojednawczego ducha. Cóż, kiedy niema już żadnego poważniejszego zobowiązania traktatowego, któreby można Niemcom podarować. Klauzule, wyjmujące niejako Niemcy z pod prawa, nakładające sankcje karne i t. p., wszystkie właściwie już zostały im podarowane. Jeżeli zostały jakie skrępowania, to przeważnie z kategorji tych, które niezależne mocarstwo samo zaciąga lub uznaje w stosunku do równych sobie. Jeśli mimo to piszemy, że propaganda pacyfityczna i w tych warunkach nie da za wygranę, to dlatego, że zostało jedno: można się samym rozbrajać. To jednak nie wygląda tak wielkodusznie, jak pozwolić na cudze zbrojenia. To stanowczo mniej dobre, jako hasło...

OJCZYZNA dominującej frazeologji pacyfistycznej naszych czasów, Anglja, z głęboką troską patrzyć musi na ten rozwój zdarzeń. Był to rozwój logiczny, dający się przewidzieć. Anglja sama się do niego przyczyniła. Ale dla żadnego mocarstwa nowy wyścig zbrojeń nie byłby ciosem tak dotkliwym, jak dla niej. Trudno nam wyobrazić sobie, jak poważne, jak serdeczne nadzieje łączono w Anglji z konferencją rozbrojeniową. Nękana bezrobociem, i upadkiem handlu zagranicznego, Anglja z upragnieniem wyglądała ulgi: obecnie stanęła przed sytuacją w ponurości swej wręcz beznadziejną. Dodać trzeba, że w razie niepowodzenia zupełnego konferencji rozbrojeniowej skomplikuje się nanowo, zwłaszcza dla Anglji, najsumienniejszej płatniczki, sprawa długu amerykańskiego. Z pewnością, gdy nie będą płacić odszkodowań Niemcy, nie zapłacą i sojusznicy Ameryce. Tymczasem polityka amerykańska ogłosiła jako swoją zasadę, że Stany Zjednoczone z wierzytelności wojennych zrezygnują tylko wtedy, jeśli Europa zdecyduje się na jakieś dość pokaźne rozbrojenie. Cały szereg trudności formalnych daje się więc przewidzieć i w tej kwestji długów. Można być pewnym, iż Anglja gotowa jest zrobić nawet duży wysiłek, aby perspektywę nowego wyścigu zbrojeń oddalić. Ogłoszona świeżo deklaracja angielska w przedmiocie zbrojeń jest ważkiem oświadczeniem w tej sprawie, głównie dlatego, że głos Anglji waży wiele w opinji niemieckiej, która, idąc za głosem swoich profesorów (jak Dibelius np.), mało uwierzyła po wojnie w kryzys Anglji, a nagół po dawnemu wychowywała się w zazdrości, kulcie i respekcie wyspiarskiego mocarstwa. Konserwatywna pod tym względem psychologja Niemców niemało zapewne przyczyniła się do podtrzymania *prestige*'u Anglji w dzisiejszej krytycznej dobie. Dosyć trudno ocenić, jak dalece ton noty, bezwątpienia chwilami mentorski i dla uszu niemieckich przykry, stanowi poprostu wyraz nieformalnego, nieco kaznodziejskiego stylu dyplomacji Macdonalda. Głównym celem kroku angielskiego było skłonić Niemcy do ponownego wzięcia udziału w konferencji rozbrojeniowej, i ten cel autorzy noty z pewnością pojmowali jaknajpoważniej, i nie jakiś lekki feljetonowy paradoks mieli na myśli, pisząc: „Byłoby to naprawdę tragicznym paradoksem, gdyby w wyniku pierwszej konferencji rozbrojeniowej nastąpiło powiększenie zbrojeń".

W PEWNEJ SZKOLE ŚREDNIEJ w Wileńszczyźnie w ciągu 8 miesięcy ubiegłego roku szkolnego młodzież zmuszona była urządzić 13 „akademij":

11-XI — obchód i akademja z okazji 13 rocznicy odzyskania niepodległości.
30-XI — wieczór z okazji rocznicy powstania listopadowego.
8-XII — przedstawienie ku czci St. Wyspiańskiego.
22-I — wieczór z okazji rocznicy powstania styczniowego.
3-II — akademja ku czci P. Prezydenta Rzeczpospolitej.
9-II — wieczór muzyki ku czci Chopina.
14-II — akademja ku czci Ojca Świętego Piusa XI.
27-II — poranek z okazji 200-ej rocznicy urodzin J. Waszyngtona.
12-III — żałobna akademja ku czci ś. p. Biskupa W. Bandurskiego.
19-III — akademja z okazji imienin Marszałka J. Piłsudskiego.
3-V — akademja z okazji święta narodowego.
3-VI — wieczór ku czci Tomasza Zana.
11-VI — koncert ku czci St. Moniuszki.

P. Charkiewicz, przytaczając ten spis według sprawozdania szkoły w „Słowie" wileńskiem (nr. 234), słuszną robi uwagę: „Trzynaście imprez na koturnach! Tego i dorosły człowiek nie wytrzymał". Istotnie, rodzą się pytania: kiedy te dzieci się uczą i kto je oduczy potem blagi pozy?

SWASTYKA — SYMBOL OGNIA, święty znak Indów, od wielu tysięcy lat pośród ludów, szczególnie aryjskich, rozpowszechniony — stała się obecnie bojowym znakiem Niemiec hitlerowskich, germańskim zwyczajem... zaanektowana. Szersze warstwy społeczeństw współczesnych nie znają pochodzenia i historji swastyki, nazwały ją „krzyżem Hitlera" i całe *odium* imperjalizmu niemieckiego na nią przeniosły. W jednym z dzienników naszej stolicy zjawiła się nawet rozprawka o swastyce, zakończona takim wnioskiem gołosłownym: „Że z takim godłem (-(...)-) można bić, prześladować i t. d. (-(...)-), to już osobnego uzasadnienia nie potrzebuje". Naiwny pisarz nie zauważył, że Krzyżacy tak samo z godłem krzyża chrześciańskiego bili, prześladowali — i tak dalej. — Tak porywczo i fanatycznie oczerniona swastyka ani z pochodzenia swojego ani z historji nie ma gwałtów na swojem sumieniu. To szlachetny symbol światła, jasności, ognia i słońca. Warto przy sposobności przypomnieć, że i w Polsce do dziś dnia swastyka utrzymuje się w znamiennym zwyczaju murarskim. Mianowicie: u wejścia do piwnic świeżo ukończonego domu gospodarz lub budowniczy kopciem świecy okapca główny łuk sklepienia kształtem swastyki. Nazywa się to „krzyż zgubiony". Nazwa wskazuje, przed czem i kiedy swastyka w Polsce zeszła w podziemia. A sama czynność zwyczaju jasno mówi o świetlanym charakterze swastyki. Niemcy przywłaszczyli ją sobie w megalomanji swej prawem kaduka i wpakowali na pikielhaubę. Zdradzili się tem, że, w przeciwieństwie do faszystów, nie mają swojego znaku rodzimego. Polacy powinni znać i rozumieć znaczenie i dzieje swastyki. Nasza bierność wszystko wrogom ustąpić gotowa.

NAUKA I LITERATURA

WŁOSKI PRZEKŁAD PIEŚNI LUDOWYCH POLSKICH

JEDNYM z najzdolniejszych polonistów włoskich młodego pokolenia jest p. Luigi Salvini, student uniwersytetu w Rzymie, syn zasłużonego w wojnie światowej generała. — Salvini opanował język polski w ciągu bardzo krótkiego czasu (w r. 1930/31), a obecnie pracuje czynnie jako recenzent i tłumacz. Po przełożeniu na język włoski noweli Weyssenhoffa „Pod piorunami", zainteresował się polską pieśnią ludową, o której odczyt wygłosił w zeszłym roku na pierwszem posiedzeniu nowopowstałej *Associazione culturale Italo-Polacca*. Referent zilustrował wykład próbami swoich tłumaczeń, poczem wywiązała się żywa dyskusja. Brali w niej udział prof. Maver, Damiani, referent i niżej podpisany. Odczyt ukazał się w streszczeniu w znanym tygodniku „*Italia Letteraria*".

A oto leży przedemną spory tomik (116 stron), zatytuwany: „*Canti popolari polacchi*". Szybko i szczęśliwie uwinął się tłumacz z pracą nad przekładem, wstępem i przypisami. Zbiorek wydała starannie *Piccola Biblioteca Slava*[1]), będąca jedną z agend *Istituto per l' Europa Orientale*, o którego dziesięcioleciu pisałem w „Myśli Narodowej" (1931, Nr. 29) „*Canti popolari polacchi*" są pierwszą publikacją Instytutu, wydaną już pod auspicjami Stowarzyszenia polsko-włoskiego.

P. Salvini był predestynowany na tłumacza naszych pieśni ludowych, gdyż uprzednio już przełożył na mowę Danta pieśni bułgarskie i rumuńskie. Warto podkreślić fakt, iż Salvini, władając kilkoma językami, jest doskonale przygotowany do szerokich badań porównawczych.

Zbiór pieśni ludowych polskich poprzedził tłumacz zwięzłym wstępem (arkusz druku). wyjaśniającym zasady, któremi kierował się w swej pracy oraz informującym czytelnika włoskiego o roli i charakterze naszych pieśni. Jak wiadomo, nie mają one tego znaczenia, co pieśni serbskie lub bułgarskie, gdyż Polska, związana ściśle z narodami Zachodu, stworzyła wcześnie literaturę artystyczną. Pieśń ludowa polska nie była nigdy jedynym wyrazem działalności literackiej Polaków, nie miała też większego wpływu na rozwój literatury. Stąd mało uwagi zwracano na nią w nauce naszej (bibljografja uboga w zbiory pieśni ludowych i studja krytyczne), a zagranicą była prawie nieznana. Mimo to pieśni ludowe mają swe walory i mogą zainteresować cudzoziemców. Przedewszystkiem uderza ich odrębność. Różnią się one od innych pieśni ludowych słowiańskich mniejszem bogactwem uczucia i wrażliwości lirycznej oraz brakiem epiki w rodzaju bylin rosyjskich lub obszernych cyklów narracyjnych Słowian południowych. Uzasadnienie przyczyn tego zjawiska oparł tłumacz na badaniach prof. J. Bystronia: „Historja w pieśni ludu polskiego", Kraków 1925.

Za oryginalną cechę pieśni ludowych polskich uważa Salvini wybitną tendencję do dramatyzowania i do dialogu. Nadaje to im żywości, siły ekspresji i syntetyczności godnej podziwu. Pieśń nie gubi się w dłużyznach i dygresjach, skupiona w motywach głównych, dramatycznych, zmierza szybko i z werwą do fazy kulminacyjnej. Inną zaletą tych pieśni jest rozmaitość form metrycznych i ogromna swoboda w budowie strof, dostosowanej zazwyczaj do treści. Bogactwo wersyfikacji łączy się z bogactwem melodji i muzyki. Nawet zachowując powszechną melancholję pieśni ludowych słowiańskich, pieśni polskie nie wyrażają jej monotonnem powtarzaniem jednego tematu, lecz zapomocą całej gamy wariacyj, podnoszących walor estetyczny słów. — W tok wywodów wplata autor parę śmiało pomyślanych hypotez, które powinny zwrócić uwagę naszych badaczy folkloru. — Według klasyfikacji Bystronia charakteryzuje Salvini pieśni obrzędowe (kolendy, śpiewy dożynkowe), pieśni powszechne (dumy, pieśni miłosne). pieśni związane z zawodem i t. d. W układzie swego zbiorku zastosował jednak tłumacz inny podział, podyktowany raczej względami estetycznemi, niż folklorystycznemi. A więc idą kolejno: pieśni miłosne, drobne piosenki treści rozmaitej, pieśni wesołe i komiczne, pieśni smutne, pieśni obrzędowe i religijne, wreszcie dumy i pieśni historyczne. Podziałowi temu możnaby stawiać zarzuty ze względów naukowych, lecz trudno mu odmówić trafności, gdy chodzi o cel praktyczny, o zapoznanie Włochów z egzotyczną dla nich poniekąd dziedziną twórczości ludowej polskiej.

Sumienne i naogół wierne przekłady pięćdziesięciu dwu pieśni, umieszczonych w omawianym tomie, wykonano prozą, zachowujac przecież układ formalny strof i wierszy polskich. Jest to metoda najlepsza i najbezpieczniejsza, chyba że tłumacz posiada uzdolnienie poetyckie, jak np. prof. Pavolini z Florencji, który poezje Tetmajera przekładał pięknym wierszem w „*Rivista di letterature slave*" 1931 r. — P. Salvini włożył w swój przekład dużo zapału i rzetelnej pracy. Widać ją też w notach informujących dobrze o szczegółach obyczajowych i historycznych, filjacjach motywów etc. Okazuje się przytem rzeczy ciekawe, np. pieśń o Podolance, trującej swego brata za namową kochanka, przypomina żywo „Donna Lombarda" (s. 104). Przygodne zestawienie kolend polskich z rumuńskiemi nasuwa wniosek o większej religijności i głębi wiary w kolendach polskich (s. 75). Z jednym przypiskiem trudno się zgodzić, mianowicie do pieśni o zwycięstwie pod Wiedniem dodał tłumacz komentarz historyczny poprawny, lecz obraz Matejki, Sobieski pod Wiedniem, znajdujący się w Watykanie, nazwał „jednym z najlepszych" wśród dzieł wielkiego malarza. Po odbytych ostatnio dwu podróżach do Polski, przekonał się p. Salvini napewno, że Matejko malował obrazy o całe niebo lepsze, niż płótno ofiarowane przezeń papieżowi Leonowi XIII.

W bibljografji cytuje Salvini zbiory pieśni ludowych Glogera, Kolberga i Bystronia, na których oparł swój wybór. Pozatem przytacza prace polskie Bystronia, Windakiewicza, Fiszera, Kucharskiego i t. d., francuską Bugiela oraz włoskie: Damiani'ego, Giusti'ego i M. de Petri. — Korekta książki pozostawia sporo do życzenia.

P. Salvini pracuje obecnie nad Fredrą; parę miesięcy temu wygłosił referat o „Ślubach panieńskich" (które sam przełożył) w *Associazione Italo-Polacca*. W młodym pisarzu włoskim zyskaliśmy nietylko serdecznego przyjaciela Polski, lecz również umiejętnego tłumacza, a w niedalekiej przyszłości uczonego.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

[1]) Zasłużone to wydawnictwo ogłosiło ostatnio dwie prace polonistyczne: N. Nucci o Żeromskim i M. Bersano Begey o Krasińskim.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W piątą rocznicę śmierci najgenjalniejszego z polskich lingwistów, ś. p. Andrzeja Gawrońskiego, odżyły wspomnienia o przedwcześnie zmarłym uczonym. Ukazały się drukiem piękne i ciekawe wspomnienia o nim, napisane przez matkę Andrzeja, Antoninę z Miłkowskich Gawrońską (córkę Jeża), znaną w literaturze pod pseudonimem Brudzewskiego; podobno też wspomnienia o koledze swoim uniwersyteckim zamierza ogłosić prof. Wł. Tarnawski. Pomyśleli także o tem koledzy zmarłego, lingwiści, by utwalić i zachować od zapomnienia jego puściznę. Parę lat temu wydano zebrane w jedną całość „Szkice językoznawcze" Gawrońskiego, obecnie zaś w nakładzie Polskiej Akademji Umiejętności ukazał się obszerny „Podręcznik sanskrytu", obejmujący gramatykę, wypisy, objaśnienia i słownik. Nad wydaniem czuwało dwoje wybitnych fachowców, znawców indologji, prof. Jan Rozwadowski i p. H. Willman-Grabowska. W przedmowie informują nas wydawcy, ile trudów ponieść należało, zanim dzieło wydania tego podręcznika zostało doprowadzone do końca. Najwięcej trudu było ze składaniem, gdyż trzeba było wyszkolić spe-

cjalnego zecera do czcionek sanskryckich, których dotąd nie posiadała żadna w Polsce drukarnia. Drugim trudem było dopełnienie rękopisu brakującemi dopiskami, których wypełnienie pozostawił był sobie autor do ostatecznej korekty. Korekta nader sumiennie przeprowadzona — też była rzeczą niełatwą. Z tego wszystkiego wybrnięto chlubnie, tak iż Polska pozyskała podręcznik sanskrycki, jakiego nam mogą pozazdrościć obcy. Układ dzieła jest przejrzysty, systematyczny i pod względem dydaktycznym bez zarzutu. W gramatycznej części omówiono najpierw pisownię i wymowę, następnie głosowię (zwłaszcza kwestję t. zw. *sandhi*), następnie sporo miejsca poświęcono fleksji, jeszcze więcej zaś składni. Najciekawsze są jednak wypisy literatury induskiej — pierwsze w Polsce. Znadujemy tu wyjątki z Ramajany, Gitagowindy, Dżatakamali, najwięcej zaś z Panczatentry, mile nas tu wita zwłaszcza bajka „Czapla, ryby i rak“, przejęta stąd przez Krasickiego. Związki literatury indyjskiej z polską, które w poezji Kasprowicza tak pięknym zakwitnęły plonem, godne są dalszej kultywacji. (J. B.)

*

Ostatni zeszyt „Pamiętnika Literackiego“ (Rocz. XIX zesz. 2) przynosi obfity plon studjów zabytkach piśmiennictwa. Cenne są badania Bronisława Nadolskiego nad wpływem mów Demostenesa na talent Stanisława Orzechowskiego i jego „Turcyki“, wykazuje on ich zależność od Demostenesa, jednak nie zależność mechaniczną, ale upodobniającą okoliczności państwowego bytu Rzeczypospolitej, ze względu na sąsiedztwo Wschodu i jego wrogi napór na granice i całość Polski. Autor studjum śledzi wiersz za wierszem, słowo za słowem, w przemówieniach Orzechowskiego i czuły na każdy odcień tonu, charakteryzuje styl tego niezwykłego pisarza, przyczem odtwarza ówczesne stosunki polityczne i obyczajowe.

W rozprawie Stanisława Kolbuszewskiego „Z dziejów idei wolności w polskiej poezji romantycznej“, autor przedstawia, jak doniosłą rolę w rozwoju romantyzmu odegrali Rousseau, Byron, i filozofowie i poeci niemieccy. Nastroje ówczesnych wstrząsów społecznych w Europie, zmiany form państwowych pod naporem rewolucyjnych fermentów, wiara w zwycięstwo słowa, wszystko to znajduje świetlany blask w poezji, i jak się wyraża Kolbuszewski, „postulat, niezrealizowany w sferze rzeczywistości, realizuje marzenie“. Wywodzi, że „Mickiewicz i Słowacki wychodzili z zagadnienia narodowego, aby dojść do rozwiązania zagadnienia ogólno-ludzkiego, Krasiński odwrotnie od rozwiązania problematu ogólno-ludzkiego przechodzi do zagadnienia narodowego“. Jan Dihm pisze o nieznanej powieści J. U. Niemcewicza z czasów Królestwa Kongresowego. Juljan Krzyżanowski w studjum o dykteryjkach kwestarskich Ignacego Chodźki, jego powiastkach i facecjach, przytacza wyczerpujące o tym przedmiocie w literaturze powszechnej badania uczonego estońskiego, profesora uniwersyteta dorpackiego, Andersona. Badacz literatury wolnomularskiej Stanisław Małachowski — Łempicki publikuje i opatruje komentarzami nieznane dotychczas wolnomularskie utwory Brodzińskiego. Wreszcie w dziale recenzyj zamieszcza redakcja sprawozdania z kilku wybitnych wydawnictw pióra R. Pollaka, L. Simona, A Brücknera i M. Giergielewicza. (A. W.).

ZE ŚWIATA SZTUKI

JAN BIERNACKI, którego pośmiertną wystawę dzieł otwarto niedawno w Zachęcie, urodził się w roku 1879-tym. Kształcił się w Warszawie i w Paryżu. Po raz pierwszy wystawia w Zachęcie w 1897 roku (?) (tak informuje Katalog Zbiorów Zachęty), w 1909-tym ma tu swoją wystawę zbiorową. Był konserwatorem zbiorów państwowych w dziale rzeźby. Zmarł we wrześniu przed dwoma laty. Oto kilka dat. Teraz wystawa zmarłego zajęła dwie sale, grupując rzeźby z najrozmaitszych okresów twórczości artysty: od najwcześniejszych niemal, aż do chwili ostatniej. Niestety dat poszczególnych dzieł nie udało się ustalić i dlatego nie mamy ich w katalogu.

W rzetelnem dziele sztuki zawsze tkwi strzęp żywej duszy ludzkiej, tu i samo zestawienie rozmaitych prac świadczy o życiu. Bo są one nieraz najbardziej krańcowo różne i oglądając je stwierdzamy kolejność przemian duchowych, jakie przechodził żywy człowiek-artysta. Najwcześniejsze noszą zupełnie wyraźne piętno impresjonizmu, nieraz w złem tego słowa znaczeniu: za przykład może posłużyć portret Józefa Potockiego, słaba, wczesna praca, jakby dość marny, początkujący Rodin. Natomiast dobrym i szlachetnym stylem rodinowskim odznacza się biust dr. Benniego w marmurze. Piękna i spokojnie potraktowana głowa Lindego — ze zbiorów Zachęty — lekko klasycyzująca, należy do najtęższych dzieł artysty. Do wczesnych zaliczyć także wypadnie studja zwierząt, czasem jeszcze pogmatwane w swej formie impresjonistycznej, lecz często żywe, o zdecydowanym wyrazie. Potem traktowanie bryły zmienia się zupełnie; niespokojną lepionkę gliny, tak charakterystyczną dla impresjonizmu i żywcem przenoszoną w bronz, zastępują śmiałe i syntetyzujące zaciosy skośne płaszczyzn, właściwe drzewu. W niektórych pracach, zwłaszcza płaskorzeźbach, znać wpływ Szczepkowskiego. Artysta uwspółcześnia swoje pojęcie formy rzeźbiarskiej. Poza różnicami formalnego podejścia, wszystkie te prace, dawne i nowsze, łączy jedno: werwa ich autora, szczerego i utalentowanego plastyka, o prawdziwym instynkcie rzeźbiarskim, który czasem czegoś nie dociągnął, czasem coś przesadził, niezawsze dawał rzeczy opanowane, lecz prawie zawsze żywe, pełne charakteru, który umiał podpatrzeć i zanotować. Stąd płynie jego dar portretowania i to właśnie łączy, poprzez czas, jedną z jego ostatnich głów, sapera, śmiałą i wyrazistą, z którymkolwiek z dobrych portretów wcześniejszych. Na zakończenie trzeba jeszcze wymienić szkic legjonisty, wyborną majolikę p. t. „Dziewczynka“, silny „Szkic“ (nr. 43 katalogu) i „Studjum“ (nr. 53).

*

Pozatem mieliśmy sposobność oglądać tamże wystawę „Wileńskiego Towarzystwa Niezależnych Artystów Sztuk Plastycznych“. Nie wiem na czem polega ta niezależność artystów „sztuk plastycznych“ (zamiast poprostu plastyków), a bardzo to mnie interesuje. Może na tem, że malują oni niezależnie od tego, czy mają zdolności, czy nie. W każdym razie pełnią swój nieoględnie obrany zawód w sposób, który nie wróży nic dobrego, a już wszystkich prześciga w tym względzie niejaki p. Czesław Znamierowski. Wyroby p. Czesława stałyby się niewątpliwą ozdobą składu materjałów piśmiennych firmy „Wadowski“, przy ul. Marszałkowskiej. Natomiast z przyjemnością wyodrębniam z tej grupy studja Eugenjusza Kazimirowskiego (nie wszystkie), zupełnie miłe i dyskretne, choć skromne. Na akwarelę J. Hawryłkiewicza, „Grodno II“, też można patrzeć bez bólu.

*

Z kolekcją 16-tu prac wystąpił p. Czesław Wierusz-Kowalski. Nazwisko ładne, obrazy — mniej. W kompozycjach pejzażowych, czasem nie bez zalet kolorystycznych, p. Kowalski, jak widać, usiłuje dotrzymać kroku reprezentantom malarstwa współczesnego. Pokost kultury, jaki nadaje swym pracom, jest jednak dość powierzchowny. Doszczętnie demaskuje go parę portretów, w stylu oficjalno-obstalunkowym, banalnych, kolorkowych i *nota bene* fatalnie rysowanych. Na tem tle, studjum staruszki wydaje się mieć zalety pewnej poprawności, zwłaszcza głowa.

*

Nie ulega wątpliwości, że wśród wielu rodzajów malarstwa, zawód dekoracyjnego malarza ściennego nie należy do najłatwiejszych. Przyczyny tego są dwojakiej natury: technicznej i artystycznej. Specjalna konsystencja muru czyni zeń nawierzchnię, stawiającą bardzo indywidualne wymagania kładzionej na nią farbie, gdy takie np. płótno zniesie na upartego wszelkie sposoby techniki olejnej, aż do poczynań dyletanckich włącznie. Za drugą przyczynę, artystyczną, trzeba uważać zasięg wiedzy rysowniczej i kompozycyjnej, potrzebny do sprostania zadaniom malarstwa ściennego. Malarz obrazów może sobie dowolnie wybierać temat, unikając tych, które mu sprawiają specjalną trudność (cecha bynajmniej nie chwalebna), lub takich, do których nie czuje żadnej skłonności. Malarz — dekorator — ze względu na możliwość powierzenia mu pracy na taki, lub inny temat — musi umieć narysować wszystko, musi znać każdy kształt, spotykany w naturze. Ten uniwersalizm trzeba połączyć ze swobodą operowania wielkiemi płaszczyznami, oraz poczuciem równowagi kompozycyjnej. Jednem słowem, jest to sztuka monumentalna. Piękne ambicje pracowania na tej niwie mają członkowie grupy „Fresk“, piękne tembardziej, że nie nazbyt dziś częste. Wszyscy, zwłaszcza panowie — bo są i panie — wykazują dostateczne opanowanie trudnej techniki fresku. Natomiast panie, a przedewszystkiem p.p. Mińska-Golińska i Wolska-Berezowska, zbyt już lekceważą sobie rysunek, idąc po linji najmniejszego oporu. To upraszczanie formy, te fałdy w kształcie rur, pokrywają naprawdę nieuctwo rysunkowe i wszystkim się już setnie znudziły. Trudno takie traktowanie kształtu nazwać upraszczaniem, jest to raczej „puszczanie“. Poważniej postępują sobie p. H. Gaczyński i p. Helena Dowkont; ta ostatnia chce prostotę formy wyprowadzić z jej syntezy i niejednokrotnie osiąga dobre wyniki, jak np. we fragmencie *al fresco* p. t. „Rybaczki“. W szkicu, który przedstawia całość tej kompozycji, odczuwa się szlachetne echa sztuki Puvis de Chavannes'a.

Najbardziej zaawansowany rysunkowo jest p. Wł. Szyndler. Jego rysunek, przy uproszczeniu światłocieniowym, ma jednak wybitne znamiona naturalizmu, czasem pojmującego formę zbyt już konwencjonalnie. Pozatem p. Szyndler posiada dużą łatwość kompozycyjną i nieraz b. szczęśliwie rozwiązuje temat wielofigurowy, np. Przekrój IV-ty dekoracji wnętrza kaplicy. Model tego mauzoleum, w opracowaniu p. Zinserlinga i R. Zerycha, znajduje się również na wystawie. Nie wiem tylko, czy dekoracje p. Szyndlera będą harmonizowały z tak prosto i nowocześnie ujętą bryłą architektury?

WIKTOR PODOSKI

TEATR

WINAWER W TEATRZE NARODOWYM

Wznowiona w Teatrze Narodowym komedja czy farsa Br. Winawera „R. H. Inżynier“ wywołuje poważne zastrzeżenie co do właściwości teatru. Ale nie jest teraz właściwa pora na ujmowanie się za powagą jakiegoś teatru. Panuje w tej dziedzinie sztuki chaos zupełny i nie wiadomo nawet, z kim na ten temat dyskutować.

P. Winawer sam jest w porządku: przeprowadza tezę „na opak“ — cóż innego może robić? Trzy akty w teatrze Narodowym poświęcono na udowodnienie, że jedynie normalnym człowiekiem jest warjat, a najcięższą postacią choroby umysłowej jest człowiek „normalny“, t. zn. uważany przez świat za normalnego. Świat uważa tak, a p. Winawer — na opak. „Kawał“ zresztą stary, odgrzewany, ale w sztuce autora żydowskiego nie jest żartem, — należy do systemu propagowanego nowego porządku świata. Bo przecież skoro prawda jest względna, więc wszystko jedno, jak ją kto traktuje.

Dla pisarza dramatycznego i aktora jest to stanowisko bardzo dogodne. Można pleść, co ślina do ust przyniesie, grać, jak się podoba: Każde zdanie z innej beczki i w innym tonie — wszystko jedno, bo to warjat; sensu tak czy owak niema.

Sztuka zadługa na *Qui pro quo*, dlatego grana w teatrze. Autor zaś ma gotową dla krytyków odpowiedź: A Hamlet nie robił warjata? Tym argumentem zdobył teatr.

Artyści byli w swoim żywiole. Bardzo zabawny był znakomity niegdyś Edyp w roli tytułowej warjata, nie ustępował komikowi p. Kurnakowiczowi. Ale publiczność nie warjowała.

Z. W.

OŚWIADCZENIE

W roku ubiegłym p. Stanisław Pieńkowski zamieścił w „Myśli Narodowej“ szereg artykułów, polemizujących w obronie stylu zakopiańskiego z artykułami inżyniera miejskiego w Zakopanem, p. Adama Hełm-Pirgi, ogłoszonemi w czasopiśmie „Zakopane“.

Ponieważ p. inż. Hełm-Pirgo pewnemi wyrażeniami i tonem p. Pieńkowskiego w artykule „Rycerz nowoczesności“ (nr. 49) poczuł się obrażony, przeto — jako redaktor i wydawca „Myśli Narodowej“ — oświadczam w imieniu zarówno p. Pieńkowskiego, jak i redakcji, to znaczy swojem i p. Jana Rembielińskiego, że byliśmy wszyscy dalecy od zamiaru ubliżenia osobie p. Hełm-Pirgi, w szczególności zaś od zamiaru podawania w wątpliwość jego dobrej woli i wiedzy fachowej.

Biorąc udział w dyskusji, mieliśmy na względzie jedynie obronę idei stylu rodzimego i sprawę rozwoju Zakopanego, drogą zarówno nam, jak i p. Hełm-Pirdze. Na dowód zaś szczerości tego wyjaśnienia składamy na ręce p. Hełm-Pirgi złotych 50 (pięćdziesiąt), jako udział w kosztach wszczętego procesu, do jego dyspozycji.

ZYGMUNT WASILEWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej“ nr. 41 zamieściłem w dziale „Na marginesie“ notatkę niepodpisaną o nagrodach na wystawie religijnej, które otrzymało trzech artystów — żydów. Na podstawie mylnej informacji przypisałem ten fakt Towarzystwu Zachęty, gdzie również była w tym czasie wystawa religijna.

Wobec powyższego czuję się w obowiązku stwierdzić, że Zachęta, ani jej kierownictwo nic wspólnego z temi nagrodami nie ma. Sz. Redakcję przepraszam za mimowolne wprowadzenie jej w błąd, a Zachętę za niezasłużone w tym wypadku moje w tej notatce złośliwości.

Z poważaniem STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

GOETHE W SOWIETACH

Rocznicę śmierci olimpijczyka, radcy dworu Goethego obchodzono w Sowietarchji wyjątkowo uroczyście i pontyfikalnie. I w Leningradzie i w Moskwie specjalne wystawy pamiątkowe, obchody, akademje i nowe wydania dzieł. Skąd nagle i niespodziewanie ten uroczysty entuzjazm, to doprawdy trudno dociec. Ekscelencję Weimarską Marx potraktował epitetem: filister. Całe długie życie Goethe był rojalistą, lojalistą i dworakiem. Ludu roboczego czy włościańskiego poprostu nie lubił i nie widział: „Nigdy nie troszczyłem się o to, czego chce wielka rzesza i jak się ma jej służyć". „Wstecznik" co się zowie, asocjalny w dosłownem tego słowa znaczeniu. Bronił cenzury i tortur i kary śmierci. W zestawieniu z Beethovenem nieprzyjemny i płaski. W ustosunkowaniu do kobiet egoista. Nietzsche nie uznaje w nim nawet jego „*Weltbürgerthum*" i podaje w wątpliwość szczytowy kosmopolityzm. Stosunek dawnych Rosjan do Goethego przez całe stulecie miał barwę uczuciową, bladą i szarą podczas gdy dla Szyllera jako „poety wolności" żywiono głęboki, szczery entuzjazm. Szerokiej popularności nie miał w Rosji nigdy. Odwiedził go jako dziecko, kiedyś, stary A. Tołstoj. „Fausta" wprawdzie tłumaczono 15 razy, ale zawsze dla wybranych, dla elity, dla germańsko-bałtyckiej szlachty. Poważali go ci, co mieli „*deutsche Bildung*": Hercen, Lermontow, Puszkin lub ci, co dłużej mieszkali w Niemczech: Tintczew, Żukowskij, Turgeniew. Znakomity krytyk Bielińskij zerżnął drugą część „Fausta", odmawiając jej wszelkich immanentnych walorów. Dostojewskij i Tołstoj lekceważyli. Z żyjących pogardliwie potraktował go Mereżkowskij, nazywając „perukarzem", a więc omal tak surowo jak francuski mistyk Claudel, ryzykujący nawet epitet: „uroczysty osioł".

Tymczasem teraz ni stąd ni zowąd w Moskwie i w Leningradzie uroczyste hołdownictwa. Reżyserował, zdaje się, sam Anatol Łunaczarski. Zmobilizowano wszystkich, którzy mieli w tej dziedzinie coś do opowiedzenia. Na „wystawkach" sprezentowano nieco autografów t. j. dziewięć listów do hr. Uwarowa (tylko podpisanych), dano pierwsze wydanie rosyjskie „Fausta" (1828), przypomniano Antokolskiego rzeźbę Mefista. Ważniejsze są nowe wydania. Pomnikowe, obliczone na 13 tomów; wydrukowano pierwsze dwa po 5000 egzemplarzy, wszystkie wyczerpane. Wstęp Łunaczarskiego, przedmowy A. Gabryczewskija, L. Kamieniewa, M. Rozanowa. Pierwszy tom: *lirica* z tłumaczeniami dawnych: Lermontowa („*Über allen Gipfeln*"), Żukowskiego (*Erlkönig*), Tiutczewa, Szczyskin-Kupernikowej, Turgeniewa, Łozińskiego, Hippiusa, z „młodszych" Wiaczesława Iwanowa, A. Biełyja, Briusowa. Tomisko ma stron 681. Drugi tom: młodzieńcze eposy i dramaty. Z sowieckich tłumaczów głównie S. W. Sczwinskij („Rzymskie Elegje"); te same wyszły w osobnem wydaniu luksusowem, z dodanym tekstem oryginalnym *en regard* i drzeworytami Taworskiego i Niwińskiego, podczas gdy „Dywan Zachodnio-Wschodni", też w luksusowem wydaniu, w nowem tłumaczeniu Czowrewskija. Ale nie na tem koniec. Osobny tom prac krytycznych wydało w czerwcu „*Literaturnoje Nasledztwo*" z pracami Auerbacha, Łunaczarskiego, Rozanowa, Asafjewa. Osobny tom „Instytut dla Zagranicznej Bibljografji" („*Inostrannaja Kniga*") osobny: pismo „*Nowyj Mir*" i assocjacja „*Mołodaja Gwardja*"... Jeszcze osobno wybór liryków z przedmową A. Gabryczewskija. Moc liryków przetłumaczono po raz pierwszy.

No więc niby popisali się, jak tam mogli. Właściwie „jubileusz" Goethego tegoroczny wypadł w Sowietach wspanialej, niż w... samych Niemczech, gdzie zimno odnoszą się do „klasyka" czerwoni, jeszcze zimniej czarni, a już lodowato „brunatne koszule", jako do antypatrjoty, międzynarodowca, Burbonisty, Napoleonisty i t. p. W czem rzecz? Jak do tego doszło? Skąd się wzięło?

Otóż za reżyserją Łunaczarskiego musiała się ukrywać dyskretnie, jak zawsze i wszędzie, suflerka i *arrangement* tym razem obecnie już usuniętego, ale w czerwcu jeszcze potężnego semity Auerbacha. Dla takiego rozstrzygającym motywem była „nadnarodowość" Goethego. Mógł być nawet dworski i perukarz i serwilista i oportunista, ale jednak to był pierwszy „*Weltbürger*". *Inde idololatria*! W tym duchu musiał Auerbach inspirować *manager*'a Łunaczarskiego. Tak samo w Brukseli ni stąd ni zowąd *Lala-Speyer-Vandervelde*, *leader* II-giej Międzynarodówki też składał hołd człowiekowi Goethemu. „To zrobi dobre wrażenie w Europie" musiał podszeptywać Auwerbach.

Rocznicę urodzin Dostojewskiego, patrjoty caropapisty oa złość obchodzono bagatelizująco. Jubileusz *Hofratha* Goethego na złość pompatycznie. Nadto żydy mają dla Goethego jeszcze specjalny feblik. Dał temu wyraz Samuel Meisels w broszurze „*Goethe im Ghetto*" *(Verlag Neuzeit)*. Źródło feblika jest w tem, że Goethego jako pacholęcia jeszcze ojciec kazał też kształcić w hebrajszczyźnie, ba nawet w żargonie. Działo się we Frankfurcie, kolebce Rotschildów. Goethe poznał frankfurckie Ghetto, nauczył się nieco mówić w żargonie, ba, nawet pisać. Do Charlotty Stein wywnętrzył się kiedyś: „wkrótce zbiorę już wszystkie wydatne rysy żydowskie i mam wielką ochotę umieścić żyda w swojej powieści". Powieści tej nie napisał, ale jako młodzieniec napisał jakąś nieznaną dotychczas recenzję o poezjach jakiegoś poety żargonowego z Polski (rzecz do zbadania) a nadto w żargonie „Kazanie żydowskie". Kazanie to nie znajduje się nawet w najkompletniejszych edycjach Olimpijczyka. Ale żydzi o niem wiedzą i polski entuzjasta „jubileuszowy" pisał o niem, zarzucając Goethemu zresztą charakter wręcz antysemicki:

„Jest to złośliwy żart, opisujący jak to po trzystu tysiącach lat Mesjasz przejdzie przez Morze Czerwone i dźwiękami puzonu zwoła wszystkich Żydów... Zmieszczą się oni bez względu na swą liczbę na jednym siwku Mesjasza i szczęśliwie przebędą Morze Czerwone, podczas gdy chrześcijanie, którzy przez drwiny usiedli na ogonie, wpadną do morza i utoną".

Żart, a może nie żart..

Może autor „*Ahasvera*" dobrze wiedział, co w tej alegorji chciał wyrazić... Przez Czerwone Morze (krwi?) żydzi szczęśliwie przebędą... Chrześcijanie... utoną...

Skądinąd wiemy dobrze, tak z twórczości jak i z korespondencji Goethego, że autor „Hermana i Dorothei" należał do gatunku antysemitów naskórkowych, organicznych, zoologicznych, osfrezjologicznych. To ostatnie oznacza odrazę rasową, zmysłową t. j. powonieniową. Drażnił go *fetor judaicus*. Wielokrotnie używał epitetu: *stinkend* (Karlsbad).

Tem piękniej i chlubniej tedy ze strony Sowietów, że tak manifestacyjnie obchodziły rocznicę śmierci wielkiego poety, bądź co bądź reprezentatywnie aryjskiego. I dobrze podsuflerował tym razem Auerbach Łunaczarskiemu, ciesząc się pokryjomu, że w ten sposób złoży się hołd jedynemu poecie wszechświatowej sławy, który w dzieciństwie... pisał raz także żargonem.

To też jest rzeczą całkiem niezrozumiałą, dlaczego tak gardzi tym żargonem i tak się odżegnywa od niego nasz poeta z miasta Łodzi, Giulio Tuwim *recte* Ktuwim (po hebrajsku).

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Syjonistyczny „Nasz Przegląd" (nr. 264) przytaczając wywiad ministra spraw zagranicznych Zaleskiego, udzielony półoficjalnej agencji „Iskra", dodaje ze swej strony następującą „uwagę redakcji":

„Poglądy, wypowiedziane przez p. ministra Zaleskiego w sprawie kandydowania do Rady, są prawie dosłownem powtórzeniem argumentów, przytoczonych przez nas w polemice z „Kurjerem Polskim", co z zadowoleniem stwierdzamy".

Znakomicie! Nareszcie dowiadujemy się, skąd nasz minister spraw zagranicznych czerpie natchnienia dla swych dyplomatycznych posunięć! Winszujemy...

*

Pan R. Brandstätter, polonista z Krakowa, ogłasza w „Nowym Dzienniku" żydowskim notę dyplomatyczną w formie listu otwartego do red. Z. Wasilewskiego w sprawie śmierci Mickiewicza. W celu ośmieszenia stanowiska tych, którzy podejrzenia Boya kierują w stronę żydów, usiłuje przedstawić jako nonsens wszystkie twierdzenia o światoburczych planach żydowskich. Metoda zużyta i zawodna. Pan Br., który dotąd utrzymywał, że Mickiewicz był „bankrutem fizycznym i moralnym", a umarł z przejedzenia, obecnie pogodził się z Boyem i w celu odwrócenia podejrzeń na Polaków zastosował w nocie, za przykładem Boya, obraz impresjonistyczny, w którym zestawił nazwiska: red. Wasilewskiego, hr. Zamoyskiego, Niewiadomskiego, pierwszego Prezydenta i Mickiewicza. Bardzo zdolny polonista.

*

Piszą nam z Krakowa:

W dniu 11 IX w południe na ulicy Grodzkiej, obywatel, trzymający w ręku nadzwyczajne wydanie dziennika, do współobywatela współwyznawcy z ironją: — „Tyle robili koło nich hałasu, tak ich wychwalali, — no i już ich niemal..."

Oto pierwszy odruch uczucia u państwowo przysposobionych obywateli... Kazimierza na wiadomość o tragicznej śmierci ś. p. por. Żwirki i inż. Wigury. Uczucie — ulgi.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.